

Magazyn

S to teraz na daszku Bekera, zagra — i jak gdyby z nią weszło do mieszkania inne życie. Za kilka dni zakwitnie. Znam szczegóły — na tych wazonach, najpiękniej na najpiękniejszym, wyskoczą nagle dwa kwiateczki, przez trzy doby będą ozdoba skromnej roślinki, potem rozle umrą; i zaraz na następnym wazoniku wyskoczą następne kwiatki i tak wążanie po wążaniu.

Roślina nazywa się „passiflora”, kiedyś była u nas i gdzieś indziej — zieloną absolutnego leczenia, coś w rodzaju korzenia mandragory. Były zakłady farmaceutyczne, a nawet całe kombinaty, które preparowały „passiflorę” (nazywano ją „Pańska Moka”), a potem leczenie zielarskie wyparty sztucznie w laboratoriach przygotowywane różne grybki. O „passiflorze” zapomniano. Są bowiem i w medycynie mody i nawyki.

Kiedy na nią spojrzę odżyje na ekranie moich wspomnień to spotkanie z inżynierem Biliczem i znów żywa staną się myśli, które przechodzą człowieka, kiedy z nim, Biliczem, rozmawia.

„Aha, zanim przejdę do tych spraw, które więcej cięciem, niż rozumem i statystyką się chłonie — każdy tutaj o tym wie: główny personalny w zakładach miał zawał serca, a potem poczęł tracić bardzo szybko wzrok. Jakżeś nerwowe historie. Przyszedł go do łóżka i za trumną się ogłądał — doradzi mu Bilicz tę „passiflorę”. Dziś ten człowiek jest zdrowy (tytuł, że po zawałach, na oczy widzi, przeżył i chwali „passiflorę” śpi. Wa. Lecho wie, jak to jest — może to przypadek, może było tak, że ten chory biał multum lekarstw — środków, a między innymi i „passiflorę”, i dziś nie wiadomo, co pomogło. Tylko, że i wielu innych ludzi odczuwa, od czasu, kiedy ja Bilicz w Starachowicach upowszechnił, odciążną uję w chorobę, graniczącą często z cudem ozdrowieńczym.

I rzecz — zastanawiająca, kiedyś przyniosł ją do domu, koczur mój zaraz się na nią rzucił, ledwie cboro-

niłem. Znam go na tyle, by wiedzieć, że — choroba — chciał roślinkę. A — kocham — proszę was — mają arcydzielnia na wszystkie zioła, lekarstwa i preparaty, które leczą zioła. Wariują za „Walerianą”. I teraz, by uratować skórę na roślinkę, musiałem ją przed koczurem postawić na daszku zegara. Zegar wysoki, stojący, „Beker”; gdy idzie, chybocze się całe pudło wraz z wachadłem, a z pudłem kiwa się jak płótopus mała roślinka. Dostałem ją — od Bilicza.

Mówią, że to „pozytywny wariat”, mówią — „ma hobby”, Ogrodnictwo i zielony świat w życiu Bilicza, nigdy nie były „hobby”, to zawsze był cel życia, ta „roślina” przysłała na świat z małym Tadekiem Biliczem i rosła wraz z nim.

A jest taka silna, bo wzrosła na glebie bardzo trudnej, próbowano wyrwać i zatriatować, opierała się i widocznie od tego opierania umocniła się.

Są — podobno — rzeczy — jeszcze nie zbadane, nie poznane, ale poznawalne i kiedyś, kiedyś — gdy wszystkie nauki, wolne od służenia wojnie — rzucą się na ostatnie tajemnice, ty je wyjaśnisz, to jedna z tych ostatnich będzie właśnie ta: jak to się dzieje i w których komórkach mózgu to się dzieje, że jeden ma skłonność do mechaniki, inny do tego, by całymi dniami leżeć brzuchem do góry i obserwować natchy, a potem pisać sonety o sławie, rycerstwie i minstrelnach, a trzeci będzie hodował roślinki. Inżynier Bilicz ma — uraz — na te nauki ścisłe, a mechaniki w szczególności. Lubiwo to pojąć: na świat przyszedł z tą właśnie „roślinką”, a ojciec — chemik, wyłazca, technik i technolog postanowił, że syn będzie inżynierem, konstruktorem maszyn.

W tym miejscu chce wrócić do poprzedniej myśli — to będzie narządę wsparcia, gdy kiedyś ludzie wymyślą taką elektryczną maszynę, czy mózg, która odpowie na pytanie — do czego nadaje się ten człowiek, czy, po-

winien zostać, czego się ma uczyć. To byłoby wspaniale — dla szanownych ludzi. Ileczyby — wówczas świat! Ale takiej maszyny nie ma i nie było jej tym bardziej przed 80 laty, kiedy rodził się Tadek i kiedy ojciec, z wyjątkiem ówczesnych ojców, sam po stanowił, że chłopczyk jak dorosłe będzie konstruktorem maszyn. A było to czasy, gdy w przeciwieństwie do dzisiejszych, obowiązywał szacunek, decydowała wola starszych. Tak się stało. Poszedł Tadek na studia do Krakowa i „robił się” na inżyniera — konstruktora.

BOLEŚLAW DZIATOSZ

POEZJA
NA
ŁODYŻKACH

Ale — w strachu, bo w strachu — oddawał się, jak narkoman paleniu opium, rozkoszom zielonego ciepłarnianego świata. W krakowskim ogrodzie botanicznym (10.000 różnych roślin, krzewów i bylin) pisał się w grupie studentów z „botaniki”, podglądał trud ogrodników, eksperymentując, śledził rost roślin. Nocami rysował na rajsbreście, trzeba było zarobić, rodzice się starali, ale mimo to nie można było myśleć o zżuceniu z siebie „ojcowskiej decyzji”.

Kiedy latem przyjeżdżał na wakacje, kreślił się ro ogrodach Potockiego (tego właśnie z Łańcuta) i Lubomirskich. Tam był wspaniałe oazę, doskonały ogrodnicy i dziwne prawie nie z tej ziemi.

Na przykład — pani Potocka przez cały okrągły rok musiała mieć na śniadanie świeże truskawki i — wyobraźcie sobie — ogrodnicy to potrafili zrobić, dziesiątą chyba już nie ma takich ogrodników, a wówczas byli.

Sklamałbym, gdybym w tym miejscu zerzykował takie dokonanie tego rodzaju: „Młody Bilicz patrzył na to, na te wyjątkowe kłębki, sterczące kwiatem zima i owocujące różowe drzewa bananowe — myślał sobie — ei, przydałoby się, kiedy to wspaniałe ogrodnictwo, służące będzie nie paszynom, a masom ludowym”. Nie, był Bilicz nie myślał, ale — o jednym to na pewno marzył, żeby móc jak ci ogrodnicy tworzyć, przesadzać, szczepić, rozmnażać te zielone cuda.

To inna sprawa, że rewolucja i Bilicz spotkali się ostatecznie w Starachowicach i Bilicz robił tutaj w Starachow-

cach — kawałek swojej, ma należnej części rewolucji. Tak jak każdy z nas; tylko, że Bilicz bez reszty wlał w to postanowienie, które ma barwę zieloną.

W czasie przerwy, przychodzą tu ludzie, dawniej ci ludzie w t a k i e m i e j s e a w o g o ł e b y n i e p r y c h o d z i l i. N i e o d c z u w a l i w c a l e t a k i e j p o t r z e b y. T e r a z o d c z u w a j a. B e z c i e n i a k l a m s t w a — p r y c h o d z a j a l u d z i e z l a p a m i j a k b e c h n y c h l e b a, p a l u c h a m i c i e ż k i m i, i w y d a w a ł o s y s i e, n i e c z u ł y m i, p r o s t o o d w a r s z t a t u i k a ż d y, m e ż e t r o c h e w s t y d l i w i e, t r o c h a h o s t i e m (p r o j e d z i e k i e d y s t e n d z i w n y w s t y d i) i „a p a d p a c h a, p o d k i t e m, w l a p i e j a k i s k a k t u s i k, a b l e g e r k i e b i a l e j c h i n i s k i e j „r o t y, j a k i e s d z i e c i e p o l a r g a n i i. P o B i l i c z t u t a j w s a n i u m s e r c u z a k l a d o w, p r o d u k u j a c y c h s a m o c h o d y — o t w o r z y ł p a l n i a r e n k o, k i l k a a l p i n a r i o w, i n s p e k t a, j e d n y m s ł o w e m — o g r o d n i c t w o, t y l k o n i e f a k t e d o z z a r c i a — „w a r z y w n i c z e” — a t a k i e t r o c h e m i n i z o w e, t r o c h e e f e m e r y c z n e —

kwiatnie. Ktoś powiedział: „Bilicz sprzedaje poezję na łodyżkach” — inny, że Bilicz poprzez te kwiaty ulepsza ród ludzki, czyniąc tym samym konkurencję Panu Bogu. Mnie osobście to drugie jakoś przekonuje i podoba się.

„Ustrój, który tak ciężko się u nagrodził, stawia fabryki i wprowadza na barwne pola traktory ścierzące ropą naftową i straszące prychaniem — słowiki. Po to, by ludziom leżę się żyło. Ale fabryka Bilicza, kiedy stawiała olbrzymi kompleks, w którym grzmiały młoty, bucha ogień

z pieca — i w ogóle jakoś tak straszno — wykrawała jakby — przezuwała, że w 1952 roku przyjdzie tu Bilicz, placik w tej fabryce, gdzie Bilicz szaleje dla ludzkiego dobra. I przychodzą tu ludzie po ablegierki, po poradę, kiedy jakieś zielsko w domu usycha, a czasami tylko po to, by posłuchać na przykład tego jaki ten powój (przy budynku — administracyjnym) cwany. Rośnie sobie w ten sposób, że leży po ścianie. Ma takie przysawki, jak polip, jak na pół przecięta piłka i przycięsniota do szkła. Macek tych tysiące, a każda ma tę właściwość, że z muru ssie wilgoć. Niedawno przyszedł transport z Kongo Belgijskiego Paprocie i ananasy. Wśród nich cudna afrykańska jaszczurka, żywy szmaragd, wyrosła do rozmiarów młodego kroko dyla.

Kiedyś — proszę was — dojdzie do tego, że ludzie u nas z takich budżetów jakie dziś są, będą kupować chińskie róże, i afrykańskie raprocie. Nie będą kupować strasznych „śmierciowych” paplerowych kwiatów, jak nie będą kupować oleodryków, a także prawdziwe malarskie malowanie.

Wtedy powiem, że żyjemy kulturalniej i lepiej.

Ja jedno wiem, że w Starachowicach dzięki Biliczowi czas ten przedziwny, niż w Kielcach nastąpi. Już następuje.

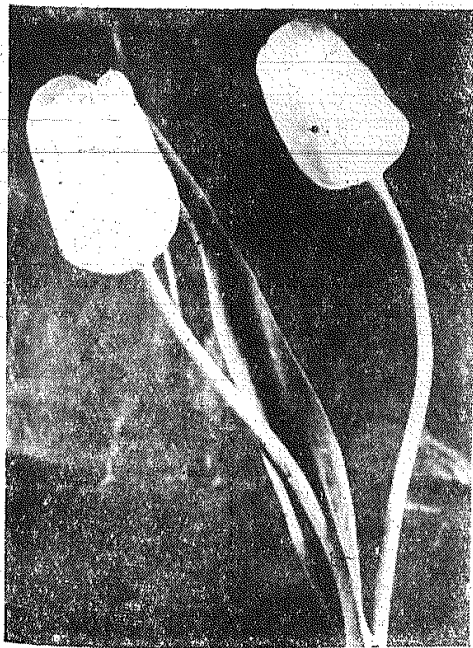
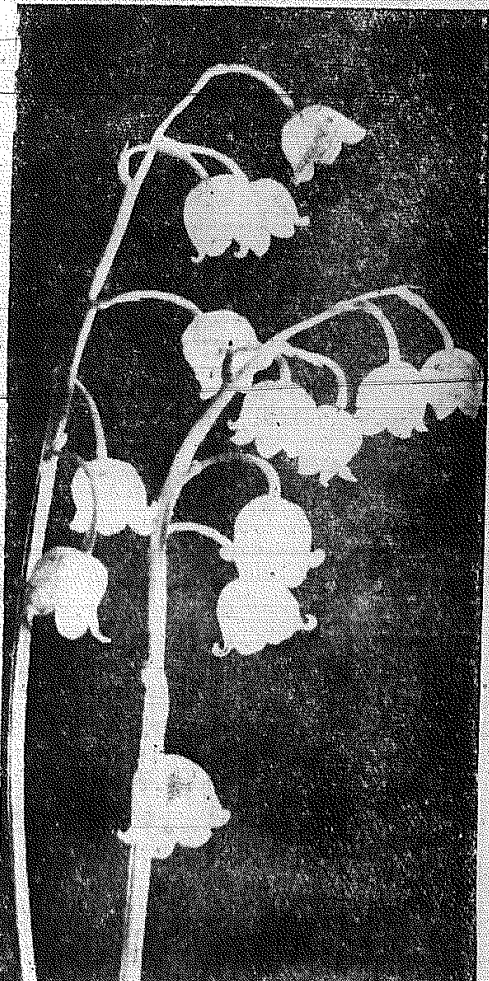
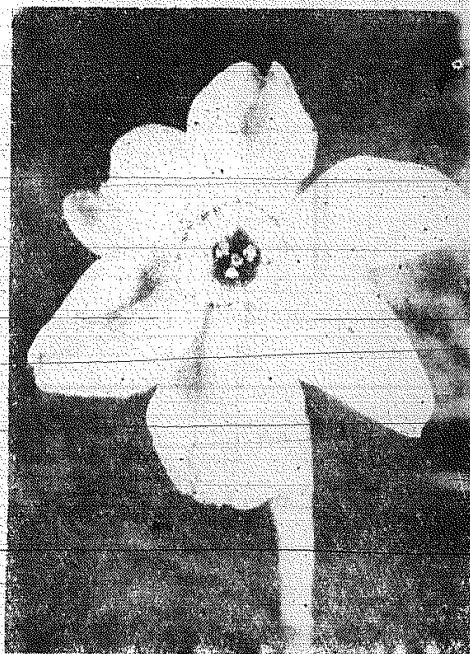


Foto: Z. JONKO

NIE KONCZ CZYTANIA „MAGAZYN”
NA TEJ TYLKO STRONIE. WEWNATRZ
NUMERU DUŻO CIEKAWYCH POZYCJI.



także wychowywania. A jaki jest stosunek matek do instytucji, która stara się w miarę możliwości zastąpić ich dziecku dom? Interesują się tylko stro-
ną opiekunką — czy moje dziecko zjadło, czy się nie zgzało, czy było grzeczne (ogólnik pod który nie nie podstawią). Ale rzadko która matka pyta: czy dziecko nie jest samolubne, czy chętnie o-
stępuje swoją zabawkę, czy jest towarzyskie, czy ma-
jakiś ulubione zabawy (lubi spiewać, rysować, tańczyć) na co zwraca uwagę na spa-
cie, czy lubi zwierzęta (i.e. itd. Nie, tym interesuje się rzadko która matka. A leż czemu się tym dziwić, skoro przeciętna matka, przeby-
wając nawet ze swym dzie-
ciem nie stara się wpły-
wać ani na jego wrażli-
wość ani na zmysł obserwa-
cyjny. Dlaczego dzieci są tak-
cześnie niedawne incyden-
ty z wiewiórkami w parku,
dlaczego deptają trawę,
nigdy nie przemawia się do
ich wyobraźni ani do ich
uczucia. Co gorsze, gdy
dziecko obcy zwróci uwagę,
to dziecko postępuje niewła-
ściwie, rzadko która matka
to potwierdzi. Przeważnie
stanie po stronie dziecka,
znajduje dla niego wytłu-
maczenie i swoim autoryte-
tem potwierdza słuszność
jego zachowania. Ale dzie-
cko się zastanawia. Wadzą-
cożnieboś powiesz szkol-
niczy i matczyński, w końcu
żadnych nie uważa za
autorytatywnie i robi to co
samemu uważa za słuszne. W
ten sposób podrywa się u-
miejscowienie koniecznie roz-
winięte w dzieciach jakiejś
szlachetności uczuć, dyscy-
pliny społecznej, liczenia
się z przepisami i panują-
cymi zwyczajami. A prze-
cież a b c d e f m
kultury w ogóle jest umie-
tność współżycia z ludź-
mi, stosunek do słabszych,
poszanowanie dobra pu-
blicznego, liczenie się nie
tylko z własnymi potrzebami
— słowem to co nazy-
wamy kulturą społeczną. I
to właśnie nie tylko moż-
na, ale trzeba zaszczepić
dzieciom od najmłodszych

wrostrzony zmysł obserwacji). Ale przecież nie chodzi o zrobienie z każdego dziecka artysty, a nie ma chyba przeciętnego dziecka, u którego nie można byłoby odkryć a następnie rozwinąć jakiejś choćby minimalnej wrażliwości na to co nazywamy kulturą estetyczną.

Dużą rolę w tym odgrywa otoczenie, wśród którego dziecko wzrasta. Jeżeli w domu panuje ład, jeżeli urządzenie choćby najskromniejsze, jest jakos harmonizowane, jeżeli na ścianach nie wiszą bohomyzy, jeżeli wewnątrz nie jest zapchane „dzielanami szuki” z jarmarku i galanteryjną tandetą — dziecko podświadomie przyswajając sobie pojęcia o tym, co jest ładne, Jeżeli chodzi o kolor to dużą rolę odgrywa tu ubranie dziecka. Dzieci na ogół lubią się ubierać, i zwracają na to uwagę. Matka, która ma sama gust nie zrobi z dziecka estorkatego pajacyka, a dzieci same mają często wrodzone wyczucie koloru i wiedzą co do czego „nie pasuje”. Właśnie ubranie to pierwsza lekcja harmonii barw, a wewnątrz domu — harmonii kształtów.

**SPIEWAM, GRAM
MALUJE - TWORZE**

Kto może pomóc rodzicom w wyrabianiu w dziecku ogólniej kultury? Jak już wspominałam – przede wszystkim atmosfera domu. W wypadku kiedy oboje rodzice pracują i mogą poświęcić dziecku tylko niewiele czasu, funkcje te spełniać powinno odpowiednio wybrane przedszkole. W przedszkole dziecko powinno się rozwijać zarówno przez stosowane tam metody zajęć jak przez wpływ wychowawczy. Nie znam wszystkich naszych przedszkoli. To, które mi wskazała jedna z wymagających matek przy ul. Lesnej, przedszkole Nr 9) przypadło mi do gustu, chociaż pracuję w trudnych warunkach lokalowych. Widąc, że wychowawczyni zna cechy indywidualne dzieci, poświęca więcej czasu dzieciom „trudnym” i umie pobudzić ich ambicje – nazywam je – twórcze. Byłam akurat na lekcji, która nosiła miano zajęć artystycznych – technicznych. Dzieci lepiły z gliny wszystko co im podobało fantazja i zainteresowanie. Większość chorowała lepi samoloty ewentualnie statki. Jeden z „lotników” ulepił nawet bardzo znacząc – odrzutowiec i zakre-

STEFANIA MAJEWSKA

kosmiczną (dzieci są w wieku 5 — 6 lat). Wysznięte „arcydzieła” dzieci malują na różne kolory. Jest to więc pierwsze twórcze zetknięcie z formą i barwą.

Na następnych etapach (szkola podstawowa i średnia) nie rozwija się już racjonalnie, wtedy, której prymitywne podstawy dzieci zdobyły w przedszkolu. Dlatego warto by pomyśleć o tym, żeby Społeczne Ognisko Plastyczne wprowadziło kurs dla dzieci szkół podstawowych. Nie chodzi tu o przyszłych malarzy i rzeźbiarzy, lecz o uczulenie dziecka na wrażenia estetyczne, które tak bardzo wzbogacała życie.

Jednak przedszkole nawet to najlepsze też można zreformować: po prostu szukać metod wychowawczych bardziej zbliżonych do warunków dzisiejszego a nawet jutrzejszego życia. W przedszkolach prawie nie widzi się zmian od

czasów, kiedy przedziko-
nazywało się „freblówka”.
Nie uwzględnia się tam np.
konieczności przygotowania
dziecka do technicznego za-
interesowania dzieł
to na pewno nastawio-
ne. Cóżto - pięćdziesiąt
brzdęce zajął się lotem na
markach samochodów, niez-
lich odpowiedzi. Dawnej dzie-
ko puła lalkę, aż się za-
baczycie „co jest w środku”,
działu lubiera każda za-
bawka mechaniczna - chce
samo umieć coś zniszczo-
wać. Co prawda nie ma-
my do tego odpowiednich
zabawek, ale to nie znaczy,
że ich mieć nie możemy,
skoro są takie w innych
krajach. Mój 6-letni przy-
jaciel dostał z Angli za-
bawkę p.n. „Majster”, któ-
ra polega na tym, że z róż-
nych oddzielnych części mo-
żna złożyć wiele różnych
zabawek jak np. dzwigi, be-
zopieczne, samochod, młyn
nł. Dziecko bawi się tym
godzinami zawsze z jedna-
kową radością.

Jak zaspiekuje że zabierze
sowania W przedziko-



Huślawka

Fot. T. Janowska

ZASZCZĘPIĆ!

Istnieje chyba niewi-
ki procent rodziców,
którzy nie mają dla
swych dzieci jakichś
ambicji, dotyczących ich
przyszłego zawodu. Są ro-
dzice, którzy pragną ażeby
syn lub córka kontynuowa-
li ich zawód, o ile mają do
niego jakisś stosunek uczu-
lowy, a nie tylko — za-
robkowy. Są więc dyna-
stie lekarzy, inżynierów,
górników, żeglarzy, kup-
ców, rzemieślników itd.
Bywa także przeciwnie —
ojciec pragnąłby ażeby syn
zdobył jakiś zawód stojący
w hierarchii społecznej wy-
żej niż ten, który sam upra-
wia, chociaż z biegiem cza-
su stanie się to anachroniz-
mem, gdyż przepaść między
pracą umysłową, a fizy-
czną będzie się stale
zmniejszała. Jednak tym-
czasem istnieje i tak spo-
sób myślenia może nieco
jęszcze uzasadniale,

Przed wojną niektórzy rodzice marzyli o tym, żeby syn ich zdobył poważanie u ludzi „przez szkołę”, o wejściu na wyższy szczebel drabiny społecznej. Zaraz po wojnie marzenia te znacznie zbladły, w zestawieniu z rzeczywistością (np. w wypadku nauczyciela), ale też przybrały bardziej konkretną formę: przez większy zarobek dojść „do lepszego życia”. Jednak bywa i tak, że chodzi nie tylko o dobra materialne, ale o wejście w środowisko ludzi, którzy żyją „jakimiś „ludźmi” życiem. Co to jest – tnie? Spotyka się ludzi prostych, którzy chociaż nie umieją tego sformułować – są wrażliwi na czar kultury (to właśnie nazywamy czymś „ludźmi”) i chcą ją, częściowo słusznie, że wykształceniem. Myślę, że tylko częściowo słusznie, bo codziennie życie daje nam tysiące przykładów, do jakiego stopnia myślenie jest przeświadczeniem, że człowiek z uniwersyteckim wykształceniem może być człowiekiem kulturalnym. Znamy przecież wielu takich inżynierów czy lekarzy, którzy nie interesują się niczym, poza wąskim korynkiem swojej specjalności i to traktowanej często pod kątem zarobku. Oczywiście, wykształcenie to brama do kultury w szerszym znaczeniu tego słowa, ale nie wszyscy wychodząc poza jej próg, mają ochotę błądzieć niegdyś im krócej, a w ogóle iść dalej, Stu-

dia dała więc tylko pewną sumę wiadomości; kulture — dać może tylko cały zespół środków wychowawczych, stosowanych od najmłodszego wieku.

SZCZEPIENIE MALUCHÓW

Ważny, pierwszy lepszy przykład. Mamy przedszkola – lepsze i gorsze, ale w każdym razie ofiarnie biorące na siebie ciężar nie tylko opieki nad dziećmi, ale

CO JEST LADNE?

Innym aspektem kultury jest wrażliwość na wartości estetyczne – na kształt, barwę, dźwięk, piękno przyrody. Jak to w dziecku rozwinąć? Oczywiście dużo zależy od predyspozycji przyrodzonych fizjologicznych (np. absolutny słuch albo

STANISŁAW FORNAL

Było to 31 maja 1957 roku. Siedziałem na jednej z ławek na niewielkim skwerku, koniecznie rynku. Z głośnika zaistalowanego na pobliskim słupie płynęły dźwięki jakiejś muzyki. Nie słuchałem jej uważnie, a zaabsorbowany popołudniowym żywieniem miasteczka. Prawie mimo uszu przemknęła mi także zapowiedź spikera: „Mingła godzina szesnasta, podajemy wiadomości...” Dopiero pierwsze, następujące po tym słowa i charakterystyczny, żalobnie – uroczysty ton, jakim zostały wypowiedziane, napłynęły moją uwagę: „Dziś zmarł w Skarżysku jeden z najwybitniejszych poetów polskiej wsi – wszystkich czasów – LEOPOLD STAFF.”

Ze względu na podeszły wiek Poety, wiadomość o Jego fizycznym zgonie nie była dla mnie zbyt wielkim zaskoczeniem. Zresztą nawet dla starszych, od mojego pokoleń, Staff był postacią znaną już przede wszystkim z kart historii literatury, był człowiekiem uniwersalnie interesującym tam za życia.

Próżno natomiast stara-
łem się dociec, co sprowa-
dziło Staffa do Skarżyska.
Najprawdopodobniejszą wy-
dawała mi się hipoteza, że
Poeta przejazdem, chwilo-
wo zatrzymał się w Skar-
żysku j. tu właśnie zastała
Go śmierć. Błądząc w swej
niekwiadości, nie wiedzia-
łem - wówczas, że miasto
nad Kamienną stało się w
latach 1954-1957 ulubio-

nym miejscem wypoczynku i jednocześnie pracy twórczej Leopolda Staffa.

Dowiedziałem się o tym w kilka dni później, zaś bliższe szczegóły dotyczące tego tematu poznałem dopiero w czasie rozmowy z ks. Antonim Boratyńskim - proboszczem w Skarżysku.

ZE WSPOMNIEN
KS. BORATYŃSKIEGO

Leopolda Staffa i jego żonę - Helenę po znał ks. Boratyński jesienią 1944 roku.

Państwo Staffowie znaleźli się wtedy w liczbie wygnańców, którzy z powstańczej Warszawy, poprzez Pruszków, trafili do Starachowic. Po zameldowaniu się w RGO, zostali skierowani na plebanie. Z wdzięcznością przyjęli gościnną propozycję wspólnego zamieszkania, wysuniętą przez tutejszego wikarego. Był nim właśnie Antoni Boratyński.

Pobyty państwa Staffów w Starachowicach trwał miesiąc. W październiku te goż roku, zaproszeni przez Ludwika Hieronima Morstina, wyjechali do Pawłowic, potem — już po wyzwoleniu — mieszkali przez pewien czas w Krakowie, by następnie przenieść się na stałe do Warszawy.

SKARŻYSKO

Widocznie mile wspominali oni przeżyta przez siebie starachowicką wersję „wspólnego pokoju“, skoro w 1957 r. zade-

klarowali chęć przyjazdu do Skarżyska gdzie przebywał teraz ks. Boratyński. Po raz pierwszy przybył tu, samochodem w roku 1934. I odtąd przejeżdżał corocznie na wiosnę-nołet-nie w poezynek. Ostatni-po był Poety w roku 1957 był już jednak samotny – pani Helena nie żyła. (Opieką nad nim sprawowała wówczas pielęgniarka – p. A nia, osoba tak szczerpa i wlołka, że Poeta radził jej wpinać w ubranie szpilkę, mówiąc, iż zabezpieczy ją, że przed porwaniem przezwiało...)

dłoń i rozpoczynał pogawędkę z nieznanym sobie dotąd człowiekiem. Zrzucając awersję Poety do kontaktowania „na zamówienie”, Boryatynski uległ kiedys uporczywym prośbom pewnej matrzyski i zamazał niby – przypadkowo spotkanie... Udało się! Tak dalece, że po dłuższej rozmowie, Staff na pożegnanie ucałował paniusiek w czoło, co dało mu okazję do żartobliwego kająnia się w chwilę potem przed obliczem żony z powodu pierwszeńs... zdrady małżeńskiej!

Tylko ja jestem młody,
Jak własny wnuk,
Jak wielu wnuków,
Bo jest ich tłum.
Śmieją się ze mnie,
Ja też."

GENEZA „WIKLINY“

Choć Staff nie zapamię-
wał poszczególnych
wierszy w datę ni rubejskie
ch powstania, ci, którzy
stykali się z nim na co
dzień mogą wskazać wiele
anegdotycznych szczegółów

U KORZENI

POETA I CZŁOWIEK

Leopold Staff nazywał sam siebie „człowiekiem kameralnym”. Nie lubił rozgłosu, dbał o ściśle incognito w czasie kolejnych przyjazdów do Skarżyska. Kiedy ktoś przyszedł o specjalną „audiencję”, poeta z reguły odmawiał. Motywował krótko: „Nie jestem cyrkowym człowiekiem do pokazywania!” Na trzmiast, gdy ktoś, przechodząc obok niego, usłuchał się, ukłonił, Staff zawsze odzwajmiewał pozdrowienie, często podawał

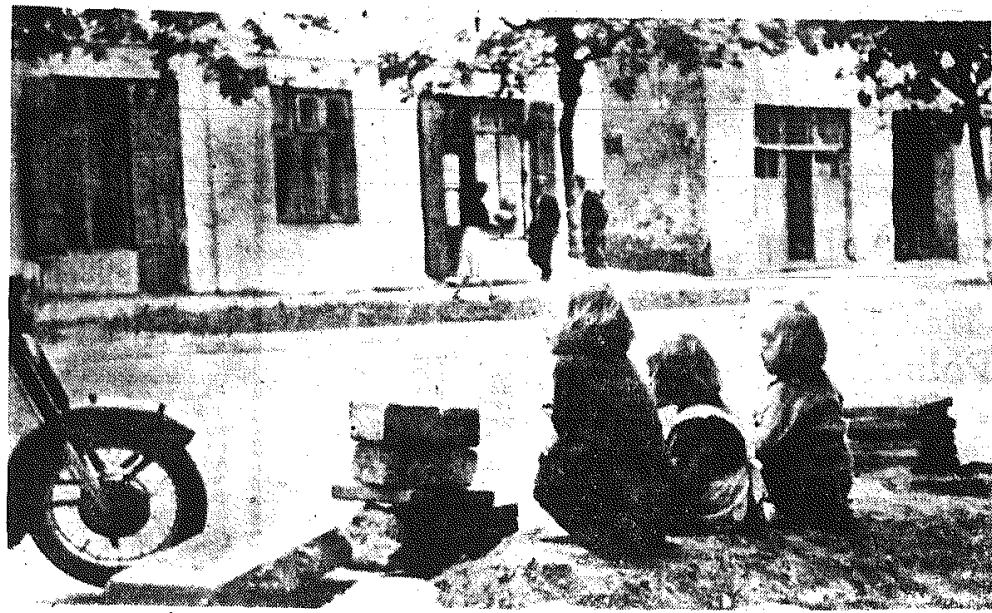
Pozucie młodości! Zadowolenia z życia nie opuszczało go do ostatnich chwil. Niekiedy żona niebacznie napomknęła o starości, słyszała w odpowiedzi: „Nie mów tak, nie jesteś młody! Młodość nabywa się z wiekiem! Ja mam wszystkiego dziesięć lat po siedem... Coż to znaczy?”

A oto to samo w transkrypcji poetyckiej:

„Siedzę w ogrodzie,
Wszystko jest odwiecznie,
stare,
Słońce, drzewa, kwiaty.

Poeta zawsze miał przy sobie ołówek i kawałek popiera. Nofodni wrażenia siedząc na laweczce w ogrodzie, w otoczeniu pięknych drzew, krzewów i kwiatów; tworzył także przy stole w swym pokoju. Czasem w trakcie rozmowy wypowiadał zdania, dając się później zidentyfikować w strofach publikowanych utworów;

ZASZCZEPIC!



Fot. B. Duda

Nie jestem pedagogiem, trudno mi coś konkretnego sugerować. Może jakieś barwne plansze z obrazkami różnego typu samochodów? Może konkursy na odgadywanie podstawowych ich części, łatwych dla dzieci do zapamiętania (np. gdzie jest motor, gdzie bieżnik, gdzie lampy? itp.), może zresztą coś zupełnie innego z tej dziedziny. Ja tylko poddaję myśl.

Albo znajomość obcego języka. Dziecko kilkunastu lat uczy się go — absolutnie bez znajomości teorii, po prostu przez naśladowanie. A przy tym, nie nie utrwała się tak w pamięci, jak to czego nauczyliśmy się w wieku przedszkolnym. Nauka języka w szkole nie ma już innego charakteru. Można ująć napisane wypracowanie na temat literacki, a nie umieć porozumieć się w sklepie, w fryzjera, czy na dworcu kolejowym. Konwersacje przygotowanie dziecka przedszkolnego daje mu podstawy do gruntowniejszej nauki języka i większą gwarancję, że po opuszczeniu szkoły nabyta znajomość obcego języka tak szybko nie „wylatuje”. Często się zdarza, że dzieci bawiące się używają jakichś dziwnych słów i dźwięków dla nikogo, — a pewnie i dla nich samych — niezrozumiałych. Na za pytanie co to znaczy, że tak dziwnie mówią, odpow-

wiadają: „my mówimy po angielsku”. A więc zdradzają jakoś chęć wyjścia poza ten zasięg słów, który jest dla nich dostępny. Oczywiście, że obcojęzyczna konwersacja w przedszkolu to jest eksperyment, ale dlaczego nie spróbować?

Pierwszym „krokiem” muzycznym w życiu dziecka jest piosenka, śpiewana w przedszkolu. Ten początek umuzykalnienia może mieć swój dalszy ciąg: 1) na kursach rytmiki i tańca w WDK i 2) w Społecznym Ognisku Muzycznym. Mówię ciągle o dzieciach, którym nie przeznacza się z góry kariery artystycznej tylko daje podstawy muzycznej kultury. Osobiście jestem wielką zwolenniczką rytmiki, która nie tylko umuzykalnia, ale narzuca zdyscyplinowanie i harmonię ruchów, a jednocześnie daje sposób wyrażenia się w ruchu i jest zabawą. Szkoła, że lekcje w WDK nie obejmują także wyższe go bardziej skomplikowane go kursu rytmiki dla dzieci starszych, który wprowadza je „bez bólu”, a raczej w formie zabawy, w tajemnicę polifonii i jej różnych form. Zamiast tego wyższe go kursu jest tam taniec. Oczywiście, i to się dziećmi przyswaja, o ile nie będzie oparte na przesłankach „popisowych”. Nauka także przychodzi z pomocą rodzicom. Wszel-

kich porad dotyczących dzieci — ich oporów, czy egzaltacji, ich cech charakteru i związanych z tym trudności, czy to w nauce, czy w sposobie zachowania się, nadmiernej wrażliwości czy też jej braku — udziela Poradnia Psychologiczna przy Kuratorium.

Rozległa działalność Towarzystwa Przyjaciół Dzieci wymaga oddzielnego omówienia. Ale dość wymienić choćby tylko jedną jej placówkę, poradnię społeczną — wychowawczą dla dzieci trudnych (nie debilów itp.), lecz dzieci normalnych, jednak nie dających się ująć w jakieś przyjęte normy wychowawcze — ażeby zrozumieć, jak olbrzymią pomoc mogą tu znaleźć rodzice, którzy chcą uniknąć niebezpieczeństwa „wyklejenia się” dziecka. A przecież trudno mówić o kulturze tam, gdzie zagrożone są podstawy etyki,

KULTURA NA OSŁEJ LAWCE

Jak wynika z powyższego, rodzice którzy pragną dać dziecku podstawy wychowania humanistycznego (nie w znaczeniu kierunku nauki, ale ogólnej kultury) nie pozostają w Kielecach bez pomocy. Od nich tylko zależy, ażeby z niej w jak najszerszym zakresie korzystali, zwłaszcza jeżeli sami nie czują się na siłach podjąć swym obowiązkiem. Toteż nie trze-

ba apelować do tej stosunkowo małej garstki rodziców zdających sobie sprawę z zadań jakie im narzuca posiadanie dzieci. Apelować należy do szerokiego zastępu rodziców, którzy — na pewno nie ze złej woli, ale z braku czasu czy nadmiaru obowiązków — zrzucają cały ciężar wychowania na szkołę, a często nawet — z braku uświadomienia — burzą to, co dziecko w szkole — znalazło.

Toteż bardzo ważnym czynnikiem w ukulturalnieniu dziecka są... uniwersytety dla rodziców. Mówią o tym zgodnie wychowawcy, nauczyciele i pracownicy poradni psychologicznych. W naszych placówkach poświęconych różnym aspektom wszechstronnego rozwoju dziecka, można na pewno niejedno udoskonalić, ale rodzice muszą zrozumieć do czego to wszystko służy. Muszą zrozumieć, że witalina K (Kultura) potrzebuje jest każdemu dziecku tak samo, jak potrzebne mu jest jeszcze pieniądze o.s.p.y. Pamiętajmy, że chociaż jesteśmy „narodem ludzi kształcących się”, nie jesteśmy niestety, jeszcze narodem ludzi kulturalnych. Chcąc to zmienić, trzeba zacząć od dzieci.

LUBUSKI RUCH SPOŁECZNO-KULTURALNY

Korespondencje Janusza Koniusza z Zielonej Góry drukujemy z myślą, że sprawy, o których pisze autor zainteresują działaczy kulturalnych kielecczyzny. Działalność Lubuskiego Towarzystwa Kultury traktowana początkowo jako tzw. eksperyment lubuski, dziś zdobyła sobie pełne uznanie i zainteresowanie władz wojewódzkich i centralnych. Zielona Góra maśmó mniejsze od Kielca z młodszym i nielicznym jeszcze aktywnym kulturalnym wnoszącym nowe elementy do ogólnopolskiego życia kulturalnego. Kielecczyzna stać na nie mniejszy, jeśli nie większy wkład.

REDAKCJA

Tę korespondencję ze strony Ziemi Lubuskiej chciałbym rozpocząć pewną anegdotą. Rzecz dzieje się w jednej ze stołecznych kawiarni.

— Pan z zachodu? — zapytuje ktoś znanego warszawskiego dziennikarza, który a dopiero co usiadł przy stoliku.

— Tak.

— Z Paryża?

— Nie, z Zielonej Góry.

To oczywiście stara anegdota. Cytuję ją tylko dla tego, że nie odbiegała od prawdy. Sam byłem świadkiem jak dwóch warszawskich dziennikarzy spotkało się po paru latach... w zielonogórskim Klubie Dziennikarzy.

Każdy pobyt dziennikarza a czasem i prozaka czy poety w województwie zielonogórskim, kończy się o publikowaniu w którymś z pism obzernego artykułu. Tak więc Czytelnicy w Polsce są dość gruntownie informowani o tym co tutaj się dzieje. Proszę zatem wybaczyć mi, że będę powtarzał rzeczy już znane.

Moda na Zieloną Górę, obserwowana od trzech lat, jest w pełni uzasadniona. Weźmy tylko na przykład samą Zieloną Górę, która z 25-tysięcznej powiatowej miejscowości w niespełna 10 lat wyrosła na 50-tysięczne miasto z nie tylko nowymi dzielnicami mieszkaniowymi, ale placówkami kulturalnymi — teatrem i orkiestrą symfoniczną, pół-wyższą uczelnią pedagogiczną, miesięcznikiem o charakterze społeczno-kulturalnym: „Nadodrza”.

Tow. Włodarczyk, i sekretarz KW tak charakterystycznie opowiada: „Walczyliśmy o to, żeby Zielonogórska organizacja partyjna znalazła się w obliczu zadań poważnych i niezmierzonych istniejących dla dalszego rozwoju gospodarczego i kulturalnego województwa. Byli i są zadania porównywalne. Ludzie poczuli się odpowiedzialni za swój zakład pracy, swoje gospodarstwo, za wszystko co się w ich kraju dzieje. Zaczęli się zajmować takimi sprawami, o jakich nawet przedtem nie myśleli. Narodziło się coś co w innych warunkach byłoby nie do pomyślenia. Narodził się uczuciowy, emocjonalny stosunek do swego miasta, miasteczka, wsi, do własnego regionu. Przy zagospodarowaniu nieczynnych obiektów przemysłowych i kulturalnych wykazano wielkie niespolitykane dotąd pomysły, ofiarność, inicjatywę, zapach”.

Po roku 1956 zaczęły się przedtem niezbyt, a teraz różnice między tymi, którzy przybyli tu z Zielonej Góry, z Polski centralnej i tymi z Babilonii. Młodzi, którzy mimo przesiedlenia i germanizacji zachowali swój język, swoją kulturę, swoje obyczaje. Na każdym kroku spotykamy się ze zjawiskiem, że ludzie którzy tu przyjechali z różnych stron Polski i nieliczne traktowali swój pobyt na Ziemi Lubuskiej jako tymczasowy, dzisiaj tak wrośli w to społeczeństwo, że o wyjeździe stąd nawet nie myślą. Wielu ludzi zaczyna traktować sprawy tego regionu jako swe własne, prywatne radości i kłopoty. Na nich to przede wszystkim opiera się lubuski ruch kulturalny — społeczny, który odrywa istotną rolę w procesie kształtowania się nowego człowieka, nowej kultury regionalnej.

Pisząc o tych sprawach nie można pominąć działalności Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, które przejęło na swe barki m. in. rolę inspiratora i koordynatora niektórych inicjatyw kulturalnych, szczególnie wydawniczych. Od roku wychodzi w Zielonej Górze — wydawany przez LTK przy pomocy finansowej RSW „Prasy” i WRN — wspomniany już regionalny miesięcznik „Nadodrza”, który jak na tego typu pismo posiada wyjątkowo dużo abonentów: 6.000. Na łamach „Nadodrza” publikują miejscowi dziennikarze, literaci (członkowie Klubu Literackiego LTK) działacze kulturalni. Wydawanie stałego miesięcznika, na który nie zawsze mogą się zdołać inne, większe ośrodki, jest poważnym osiągnięciem zielonogórskiego środowiska.

Prócz pisma LTK wydaje również książki. Jeśli zważy się, że Zielona Góra nigdy nie miała swej oficyny wydawniczej, jest to drugie poważne osiągnięcie Towarzystwa. Dotychczas LTK wydało własnym sumptem dziesięć pozycji: dwa tomy legend i baśni zatwierdzonych ostatnio przez Ministerstwo Oświaty do bibliotek szkolnych, pięć tomików poetyckich miejscowych autorów, „Rocznik lubuski” oraz dwa tomiki wspomnień uczestników i milicjantów. Ponadto wspólnie z Wydawnictwem Poznańskim LTK wydało dalszych dzieł: powieści, przekłady historycznych, w tym kilka dalszych książek. Oczywiście są to wszystkie twórcy miejscowych autorów.

Aby obraz działalności Towarzystwa był pełniejszy, trzeba dodać, że jedna z jego sekcji zajmuje się produkcją krótkometrażówek, które od czasu do czasu można oglądać w Telewizji Warszawskiej.

To tyle o Towarzystwie. Z innych spraw godnych podkreślenia należy wymienić „Rocznik administracyjny — gospodarczy województwa zielonogórskiego” wydawany od dwóch lat przez Prez. WRN w Zielonej Górze. Przecież nie wszystkie województwa posiadają takie publikacje.

Ostatnio, to znaczy od czasu uzyskania salonu wystawowego przez ZPAP aktywną działalność przejawia środowisko plastyczne. Regularnie urządzane wystawy cieszą się nie tylko zainteresowaniem krytyków, ale i publiczności. Poza tym zawodowi plastycy współpracują z ruchem amatorskim, co daje spore rezultaty. Warto tu zaznaczyć, że działalność plastyków nie ogranicza się tylko do tych dwóch spraw. Zielona Góra jest nie tylko Zielona, jest również kolorowa, a to przede wszystkim jest rezultatem ich działalności.

Czytelnik kielecki po przeczytaniu tych zdań mógłby dojść do fałszywego wniosku, że Ziemia Lubuska jest krainą „znikłym i młokiem plynącym”. W okresie 15. minionych lat, a szczególnie w ubiegłych czterech latach zrobiono tu w dziedzinie kultury bardzo wiele. Z każdego rokiem powiększa się liczba placówek kulturalnych: przed kilkoma dniami otwarto np. w Zielonej Górze pięknie wyposażone Muzeum Okręgowe.

Ala również z każdym rokiem rosną potrzeby społeczeństwa. Szczególnie daleko się to odzwierciedla w sztuce, w dziedzinie naukowej, o której wspominałem już starannie, brak średniej szkoły muzycznej. To są bardzo poważne przedsięwzięcia, ale jeśli pomyśleć, że przed piętnastu laty tu nie było, nie ma powodów do obaw: dlatego ten list chciałbym zakończyć tym właśnie optymistycznym akcentem.

JANUSZ KONIUSZ



Staff

naprawy udał się Poeta w towarzystwie ks. Boratyńskiego do ślusarza. Droga prowadziła przez łąkę. Gdy nadeszli nad strumyk Bernatka, okazało się, że nie ma kładki i że trzeba go przeprzeć skacząc z kamienia na kamień. Poeta nie czuł się pewnie, obawiając się wpadnąć w bystry nurt strumienia. Kilkakrotnie

„Nie wierzyłem
Stojąc nad brzegiem rzeki,
Która była szeroka i rwista,
Że przejdę ten most,
Spłyciony z cienkimi, kruchej trzciny
Powiązanymi linkiem.

próbował go przeprzeć i zatrzymał się. Wówczas nadbiegł, stojący na drugim brzegu, harcerz, podał mu linkę, dzięki czemu przeprawa odbyła się pomyślnie. Na drugim brzegu Staff wypowiedział słowa: „Nie wierzę, że ten potok przeszedłem!” Scena ta znalazła twórcę transpozycję w wierszu pt. „MCST”:

„Ale już nie ma kołyski
Ale nie ma już dziecka.
Poszło między cienie,
Matka sama szedła o zmierzchu,
Kołyskę nogą wspomnienie”.

Również w ostatnich, opublikowanych już po śmierci Leopolda Staffa wierszach — cykl „Ala ma kota”, dostarcza ks. Boratyński liczne reminiscencje faktów i zdarzeń z czasów pobytu w Skarżysku.

Poeta spisał na metalowym łożku, którego siatka wyginała się ku dołowi, tworząc wgłębienie dla leżącego. W związku z tym mawiał: „To łożko jest dla mnie jakby łóżko”.

Oddźwięk tego odwołania — jemy w wierszu pt. „WIECZOR”:

„Leżę na łożu
W wieczornej ciszy,
Gwiazdy nade mną,
Gwiazdy nade mną,
I gwiazdy we mnie.”

W notesie dobytym z kieszeni marynarki po zgonie Poety znalazłono ponadto takie niewątpliwie napisane w Skarżysku utwory jak: „Maj”, „Wiosna”, „Ala ma kota” i „Dos moi pou sto”.

OSTATNI DZIEŃ

O to dosłowna relacja świadka tych zdarzeń — ks. Antoniego Boratyńskiego:

„Ostatniego dnia Poeta wstał o godzinie 8 rano. Poszedł do łazienki, gruntownie się wymył, zmienił bieliznę, zalał czarnie spodnie i wrócił do swojego pokoju. Czuł się zmęczony, wyczerpany. Pomołem mu jeszcze włożyć bonzurkę i o 9 siedliśmy do stołu, do wspólnego śniadania. W czasie śniadania Poeta był w dobrym humo-

rze, opowiadał i żartował. Przed wstaniem od stołu, Poeta powiedział: — Jakie piękne słońce: trzeba wyjść na powietrze!

Ja poszedłem do swojego gabinetu; Poeta do swego pokoju. Pielęgniarka w tym czasie wyniosła dla niego fotel do ogrodu. Wówczas właśnie przyszedł atak serca. Poeta tak jak siedział przy stole, upadł na podłogę. Wszystko to trwało nie więcej, niż 5 minut. Spojrzałem w okno, zdziwiłem się dlaczego Poeta nie ma w ogrodzie. Zaniesłem pokójko mnie to. Przechodząc do pokoju — patrząc on leży na dywanie nieprzytomny, czoło krwią nabiegło, wyraz oczu błędny, tętno bije jeszcze. Pielęgniarka, przywołana czymś pędem, daje zastrzyki nitrogliceryny, ale to już nie działa. Wezwany lekarz nadbiegł szybko, niestety, już tylko po to, by stwierdzić zgon”. Stało się to 31 maja 1957 roku.

I w tym roku nad Kamienną Zieloną się kołysze w podmuchach wiatru wiklina. Ta sama wiklina, która dała imię ostatecznemu wydaniu życia zbiorowi poezji Wikliny. Prawy, odwieczny cykl znowu przemija wiosną i nadchodzi lato. Trzeciego już lata w Skarżysku bez Leopolda Staffa, Poety, który odszedł, a jednak na zawsze pozostał...

„WIKLINA”

W bliskim sąsiedztwie do mu, w którym Poeta przebywał w Skarżysku płynię rzeka Kamienna. Upodobał on sobie nadbrzeżne spacerować i wiele czasu spędzał na łąkach, wśród krzewów wikliny, gesto porastającej brzozi Kamiennej oraz strumyka Bernatki. Są więc uzasadnione podstawy do mniemania, że tytuł tomiku poezji — „Wiklina” jest rodem ze Skarżyska. Dotyczy to również wielu wierszy z tego tomu.

Szedłem lekko jak motyl
I cicho jak słoń,
Szedłem pewnie jak tancerz
I chwiejnie jak śpieć.
Nie wierzyłem, że przejdę ten most,
I pody stałem już na drugim brzegu,
Nie wierzę, że go przeszedłem!”

Któręś dnia zjawiała się na plebanii malica dla załatwienia sprawy pogrzebu swego zmarłego dziecka. Zagadnięta przez panią Staffową, nieszcześliwa kobieta poczęła się zwierzać

jej ze swego bólu. Obecny przy tym Poeta nie włączył się do rozmowy, lecz to co usłyszał — stało się natychmiast do napisania utworu pt. „MATKA”:

„O zmierzchu przy ogniu
Matka trąca nogą bękart
Kołyski, w której śpi dziecko.



SMELT-DIPPING

(Mark Hemp pisze dziś z USA specjalnie dla wędkarzy)

Może byśmy tak pojechali – mówię do mojego kolegi Czesia – na kilka dni do Kanady. Rząd kanadyjski właśnie udostępnił 20 tysięcy mil kwa dratowach – tajni dla amerykańskich ceprów. Zapłaćmy sobie za kartę rybaczą, przewoźnikowi za pokazywanie obfitej w ryby sadzawki i możecie łowić, ile dusza zapagnie.

Wątpię bardzo czy ty tam jednak coś złapiesz – kpi Czesio – poza tym kto by chciał na tym aż tak daleko?

Okazało się, że Czesio zamierza wyjechać na smelta do jednego z potoków wpadających do jeziora Huron. Długo nie pojechaliśmy – gorączkuje się – gdzieś koło Oscoda, głupie 200 wiorst. W Polsce zapewne wysłalibyśmy Czesia, ale tutaj w Ameryce odległość nie ma znaczenia – sam przecież jeżdżę latem do teatru oddalonego o 150 km bez zastanawiania się nad tym, niedzielnego spaceru samochodem na odległość 400 km jest regułą, nie wyjątkiem. Dlatego więc by nie polecać na tego smelta. Ale co to ten smelt, czyli osmerus mordax – wczonęj łaciny używając? Smelt to mała ryбка, rzadko sięgająca 10 cm, rodu amerykańskiej płotki czy kłobasa. Wygląda zaś jak szprotka i milionowymi ławicami zapelnia wody Wielkich Jezior. Niektórzy uważają smelta za wielki przysmak. Inni twierdzą, że to jest mały szkodnik. Latem, w czasie upałów smelt przebywa głęboko pod powierzchnią – nikt i nie go stamtąd nie wywabli. Czas połowów smelta przypada wczesną wiosną, kiedy wody Wielkich Jezior są zimne i wolne od lodów. Wówczas to gromady małej rybki płyną ku brzegom i dalej w górę potoków i rzeczek na tario i składanie ikry. Płyną – taka ławica – w górę strumienia – czasem jest ich tyle, że wzajemnie wypychają się na brzegi. Wyszły wtedy stają się słatką czy sakiem na środku strumienia, aby w ciągu kilku kwadransów nalożyć z pół tony tego żywego srebra. Zespół złożony z kilku mocnych chłopów może w kilka godzin złowić bez większego trudu dwie tony smelta. Ta dziwna ryбка pływa zawsze na caml – nigdy wcześniej niż koło godziny 22 wieczorem i nie później niż o 3 rano. Z nadejściem dnia smelt znika jak kamfora i aby go złowić trzeba czekać do następnej nocy.

I tak więc, w pewien czwartkowy wieczór majowy, żegnani okrzykami połączonych rodzin i przestrogami żon, żeby nie jechać więcej, niż „110 km per hour” – ruszyliśmy w kierunku Oscoda. Przybyliśmy koło 20.30 nad notok nazwany szumnie „Silver Creek”. Wody rzeczki warknęły i zółte od gliny. Wzdłuż strumienia nie nig

dy nie rośnie, ziemia tu jałowa i pusta. Farmerzy tę pustą przestrzeń nad rzeczką zamienili teraz na ogromny parking – od samochodu biorą za noc dołara – prawdziwy rozbój, ale gdzie zostawić swojego grata? Płacę dolara bez oporu i tylko martwię się, jak z tego blocka później wyślagnę wóz.

Nad rzeczką gromady ludzi czekają cierpliwie już od popołudnia. Niektórzy rybacy rozpalili ogniska.

Stoimy właśnie przy ognisku – jakaś litościwa babunia zaprosiła nas do ognia i czekamy w towarzystwie jej rodziny. Babunia jest z rodziną: syn, synowa, cała horda wnucząt – ale ona jest tej grupy bossem. Przyjechali, jak co roku, na smelta aż z Toledo. Sportowcy to zresztą zawołani – nie ma wody w całej Ameryce i połowie Kanady, w której by szczęścia nie próbowali. Typowa wędkarska rodzina amerykańska, wydająca na sprzęt rocznie setki dolarów, kilogram złowionego przez nią trolea kosztuje jednak chyba z 40 dolarów, gdy się policzy wydatki na sprzęt, specjalne stroje, stracony czas i zużyty benzynek. Ale amerykański wędkarz, podobnie jak każdy inny na wydatki nie zwraca uwagi. Każdej wiosny rusza milionowy legion łowców nad rzeką i jeziora i nawet łód ich nie przestrasza – wyrębiają zimną przerebłą w lodzie, budują sobie chatynki i uparcie łowią, łowią. Do takich wędkarzy zaliczają się i nasi gospodarze przy ognisku.

O 22.00 kilku odważniejszych amatorów, rzuca się w wodę, my nałagamy specjalne gumowe buty się gające aż po szyję. „Nie ma ich jeszcze” – woła ktoś – pewnie tej nocy nie nadpłyną”. Przy ognisku gija wodnik Smirnoffa, ktoś śpiewa fałszywie ludową piosenkę. Nudźmy się. Ale o 23.00 zapomnieliśmy o całym bożym świecie. „Ida – krzyknął ktoś – idą!” I jak gromada spłoszonych żab nad stawem rzucili się ludzie do wody, knędzy z sakiem, z siatką zrobioną ze starej firanki, z kawałkami płótna. Każdy też ma na plecach kosz, w który wrzuci złapane rybki. Jak kosz się napępli gramolimy się na brzeg, wyrzucamy zdobycz do większego kosza i pędzimy z powrotem do wody.

Potok jest dostojnie pełen oszalałych ludzi. Każdy rzuca się, macha rękami, zanurza z rozmachem sak i podnosi go triumfalnie do góry pełen srebrnych, trzępocących się rybek. Dziwie się, jak te rybki w ogóle mogą ocaleć i prześlinać się wśród dżum gli ludzkich konczyn kwiczących w potoku – ale widocznie mogą, bo za każdymi razem podnoszą siatkę wypełnioną po brzegi zdobyczą. Ogarnia nas zbliżone szaleństwo, machamy

Film trójekranowy w Polsce

Film taki – jak mówił jego inicjator, reżyser i autor scenariusza A. Hanuszkiewicz – powstał z konieczności zrobienia jak najlepszego filmu o Leninie, ale bez wykorzystywania sztuk i filmów o nim, w których nie występuje on sam, a teksty nie są oryginalne, wypowiedziane kiedyś przez niego samego, lecz napisane przez autorów dzieł o nim. Realizator wybrał inną koncepcję. Opartą ją na materiałach dokumentalnych, na kronikach filmowych i takich scenach, w których występował sam Lenin oraz na jego oryginalnych tekstach, wypowiedziach lub napisanych. Chodziło jednak o to, żeby film nie był statyczny. Wtedy właśnie Hanuszkiewicz wpadł na pomysł trzech ekranów, w czym – jak sam mówi – dopomogła mu „nieznajomość techniki filmowej, nieleczenie się zbytnie z ustatkami konwencjami klasycznego filmu”.

Efektem filmu trójekranowego, który rzuca się od razu w oczy, a o który chodziło realizatorowi, jest otrzymanie ożywienie statycznych zdjęć i ożywienie treści przytaczanych słów, przez podkład plastycznych obrazów. Chyba nie można było lepiej wykonać takiego zadania. Lenin „grany” przez siebie samego okazuje się postacią niezmierne żywą, używającą myślową więź z zewnętrznym światem, z cierpiącymi ludźmi, wojną i rewolucją, nawet wtedy, kiedy przebywa u siebie w domu lub spaceruje w Poroninie.

Trójekranowy film o Leninie będzie już wkrótce wyświetlany w 5 największych miastach Polski, tj. wszędzie tam, gdzie warunki techniczne widowni na to pozwolą. Bawiem wyświetlanie takiego filmu wymaga nie tylko miejsca dla trzech obok siebie ustawionych ekranów, ale również budowy kamery operatorskiej i skomplikowanych urządzeń dźwięku.

Reżyser Hanuszkiewicz zapowiedział również nakręcenie filmu trójekranowego o Polsce, przeznaczonego głównie na międzynarodowe wystawy zagraniczne. Film ten powstanie w oparciu o oryginalne zdjęcia i oryginalny scenopis, dostosowane całkowicie do potrzeb tej nowej, interesującej formy kinematograficznej.

I zanurzamy saki bez celu, bez zastanowienia. „Smelt dipping” – jak to się tu nazywa – jest do prawdy zbiorowym szaleństwem. Jest to nawet więcej niż szaleństwo – to jakiegoś przapagański obrządek. Tu i gówdzie smakosze nie czekają aż wrócą do domu, ale czyszczą smelta, posypują okruszynami chleba i smażą nad ogniskiem. Smelt prosto z wody jest najlepszy.

Po jakichś dwóch godzinach udało mi się wyciągnąć Czesia z wody i zalać dwa wielkie kosze smelta do bagażnika. „Czesio bynajmniej jeszcze do domu wracać nie chciał, ledwo udało mi się wpaść do wozu i wolniutko wóz z tego bagniska wyprowadzić. Odejżdżając raz jeszcze popatrzyłem na kłębiący się w wodzie tłum – stare babinki

KAMERA KAPRYSY...

Mówiliśmy już o tym, że kamera jest jednym z najczulszych i podstawowych organów telewizji – jest jej okiem. „Okno, jak wiadomo, może czasem, w pewnych, ściśle zresztą określonych warunkach kaprysić. Takie jego – jak powiada poeta – rude prakwo”. Dlatego technicy telewizyjni, specjaliści od kamery, na wzór okulistów zbadali wszystkie przyuczyny niedomagania „sztucznego oka” i doszli do dość rewelacyjnych wyników. Otóż okazuje się, że oko kamery ni mniej ni więcej, ale jest obdarzone pamięcią! Tak, tak, właśnie pamięcią, i właśnie wzrokową!

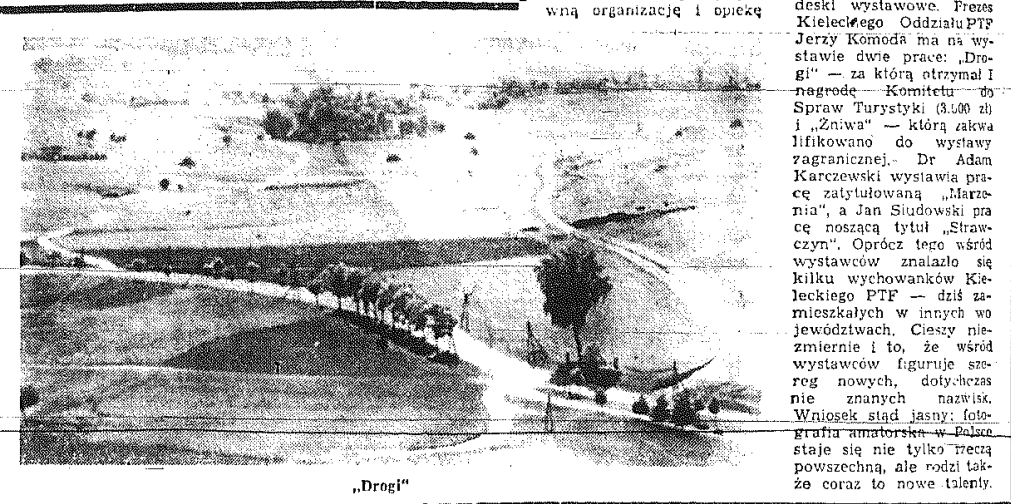
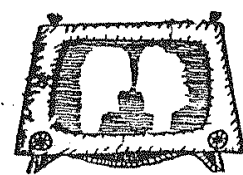
Kamera nie może zbyt długo patrzeć w jakiś jeden punkt, ponieważ używając się go na pamięć tak dalece, że trudno zapamiętać poprzednio przez nią obraz wybiej jej z „glowy”. Stąd właśnie, jak zapewne łaskawy czytelnik zdążył się już zorientować, te nieustanne jaski kamery, stąd te efektywne zresztą i chyba potrzebne zmiany plynów itp. itp.

Inne znowu kamery szalenie nie znoszą zimna. Zupełnie jak ludzie. Zmarz-

nięte oko kamery kaprysi, daje fałszywy obraz tzw. „rzeczywistości” itp. Dlatego właśnie dzielnicy kamerzyści instalują się zimą (podczas np. mistrzostw hokejowych na lodzie) na dłu przed rozpoczęciem zawodów i (dosłownie!) nieomal chuchają na swe kamery. Dopiero odpowiednio podgrzana kamera zapewni swemu oku właściwy start.

Jeszcze inne typy (ciemne, co?) kamery nie lubią zbyt długo pracować: nadmiar pracy przemęcza je, a więc odmawiają najwyżej i najczajniej w świecie posłuszeństwa. I cóż z takim zrobić, jak muszą to muszą; kamerzyści rozkładają ręce i idą na papierosa...

Wszystko, co widzą kamery przekazane zostaje przy pomocy kabla do Najwyższej Kontroli. Oceń sam Pan Reżyser... (cdn.)

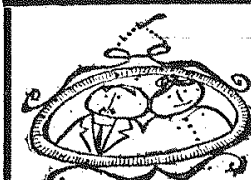


to... każdy może...

SEN O PRZYSZŁOŚCI
Niebo gwiazdziste wesoło patrzy
Księżyc wśród gwiazdek nutuje
Ja siedzę smutno w swym pokoiku
Nad losem swoim rozmyśluję
Co będzie za rok za dwa
Czy moje marzenia się spełnią
Czy okres mojego żywota
Drogi wesela wypełnią
Czy smutek serce przeniknie
Bojaźnia, lęk, rozterka
Czy okres mojego żywota
Przeniknie poniewierka
Czy wezmę sobie żonkę
Przepiękną, jak różę kwitnącą
Czy może będę szczęśliwym
Na piękny Boskim świecie
Na próżno jednak tak dumam
Daremnie siedzę wśród ciszy
Nikt nie odgadnie milczenia
I nikt nie myśli nie słyszy.

Kacik nlejszy przeznaczymy dla Czytelników narażających się piórem. Zamieszczamy w nim (na wyłączną odpowiedzialność autorów i bez placenia honorarium) nadesłane na nasz adres wiersze i inne utwory.

Poniżej wierszyk nadesłany przez naszego Czytelnika ze Skoczowa (prow. Kozłimierzka W.), podpisany pseudonimem „Błękł”.



X Ogólnopolska Wystawa PTF

W niedzielę, dnia 15 maja br. otwarta została w Gliwicach X Jubileuszowa Ogólnopolska Wystawa Amatorskiej Fotografii Artystycznej Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Jest to już trzecia tego rodzaju impreza organizowana przez Gliwicki Oddział PTF.

Fotograficznymi „wygom”, którzy już niejedną wystawę widzieli, trudno jest co prawda czymś zaimponować, ale to, co zobaczyli w Gliwicach, wprowadziło ich w nieomal zachwyt. Tak lekko, prosto, a równocześnie z nadzwyczajnym dużym smakiem zorganizowanej i eksponowanej wystawy dotychczas oglądać nie mieliśmy możliwości. Gliwicom – bravo, a naszymi specem od kultury – rada: obejrzyjcie to koniecznie. Trudno nie pochwalić również organizatorów za nadzwyczajną sprawną organizację i opiekę

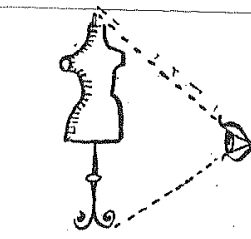
nad gośćmi w dniu otwarcia wystawy i rozdawania nagród. Nikt nie czuł się tam samotny. Nikt nie mógł się nudzić. Gospodarze umieli rozłożyć opiekę nad każdym, dogodzić gustom i upodobaniom.

A sama wystawa? Nadzwyczajna! Na kilkakrotnie wyższym poziomie artystycznym i technicznym niż IX, którą mieliśmy możliwość oglądać ostatnio w Kielcach. Pewną orientację o poziomie wystawy mogą dać następujące cyfry: na wystawie wpłynęło 2.427 prac od 409 autorów. Przyjęło: 238 prac 133 autorów.

Złoty medal i I nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymała na wystawie Zofia Rydet z Gliwic. Jej prace miały możliwość oglądać w Kielcach na IX Ogólnopolskiej Wystawie, na której zdobyła ona II nagrodę Najwyższej w pracach jej występuje portret psychologiczny.

Srebrne medale otrzymali: Piotr Janik z Gliwic i Stanisław Skórzyński z Gliwic, a brązowe: Włodzisław Pieliński z Krakowa, Tadeusz Rydet z Gliwic i Tadeusz Wojcik z Radomia.

Naszych czytelników interesować będzie przede wszystkim fakt, jak wypadli kielczanie. Moim zdaniem wcale nieźle. Prawie wszyscy, którzy wysłali prace dostali się na deskę wystawową. Prezes Kielckiego Oddziału PTF Jerzy Komoda ma na wystawie dwie prace: „Drogi” – za którą otrzymał I nagrodę – Komitetu do Spraw Turystyki (3.000 zł) i „Ziwna” – którą zakwalifikowano do wystawy zagranicznej. Dr Adam Karczewski wystawia pracę zatytułowaną „Marzenia”, a Jan Siudowski pracę noszącą tytuł „Strawczyn”. Oprócz tego wśród wystawców znalazło się kilku wychowanków Kielckiego PTF – dziś zamieszkałych w innych województwach. Cieszy nas również to, że wśród wystawców figuruje szereg nowych, dotychczas nie znanych nazwisk. Wniosek stąd jasny: fotografia amatorska w Polsce staje się nie tylko trzecią powszechną, ale rodzi także coraz to nowe talenty.



MODA AMERYKANSKA
Nabyć taką jak wszędzie, a jednak trochę inną. A więc, co się nosi tam na codzień? Nasze babki pamiętają na pewno modne na początku 60-tych lat stulecia „jupes-culottes”, czyli szerokie spodnie, w formie rozciętej spódnicy. Używano ich przeważnie na wycieczki piesze lub rowerowe. Zresztą moda ta szybko przemieniała. Teraz odżywa w postaci takiej, do „culottesów” – nosi się różne bluzki i kciaki i strój ten jest podstawą garderoby sportowej.

Kostium kąpielowy typu „bikini” zostały uznane za niemoralne. Tak przynajmniej twierdzą przemysłowcy. Uważają oni, że jest to strój wulgarny i po prostu wstrętny. Na szczęście, kobiety, które dawniej rzucały tylko jeden kostium kąpielowy, teraz mają ich 4 lub 5, więc mogą wybierać.

W różnicy do mody nam bliższej – w roku bieżącym modne są bluzki bez rękawów, co bardzo pomaga do odciążenia „starzyny”. Np. można z wyprutych rękawów zrobić kołnierzyk albo też nakładaną kieszonkę z haftowanym monogramem.

Do wiosennych i letnich kostiumów modne są białe przypinane wycięty kołnierze, które można niewielkim kosztem spotać dzie samej.

Modne są paski, ale trudno jest o ładne klamki. Moda proponuje więc zapinanie paska na dwie pozłacane agrafki, w miejsce skośnej jednodługiej.



To „wymyśliło” życie...

„Dlaczego za niego wyszłam? No, myślę sobie, jeśli mężczyzna każdego dnia chodzi pijany, to znaczy, że bardzo dobrze zarabia...”
(z protokołu)

„...I nie jestem żadnym spekulantem! Jakżeż ze mnie spekulant, jeżeli handluje nie swoimi rzeczami? Nawet za kontrolę biorę nie pieniądze, a wyłącznie kolację...”
(z zeznań oskarżonego)

„O zachowaniu się moich sąsiadów nie mogę powiedzieć nie mogę, gdyż biją się oni zawsze po ciachu...”
(z zeznań świadka przed sądem)

„...wyżej wymieniony obywatel nazywał mnie jeszcze stróżem i innymi, niecenzuralnymi wyrazami...”
(z zeznań świadka)

„Ani ten obywatel, ani idący z nim pies nie posiadali przy sobie żadnych dokumentów...”
(z raportu posterunkowego)

„Obywatel Nabrdalik zachowywał się bardzo nieprzystojnie, awanturował się, krzychał, nie pozwalając spokojnie odpoczywać przebywającym w izbie wytrzeźwień innym obywatelom...”
(z protokołu kierownika izby)

Z „Ogonioka” wybrał T. B.

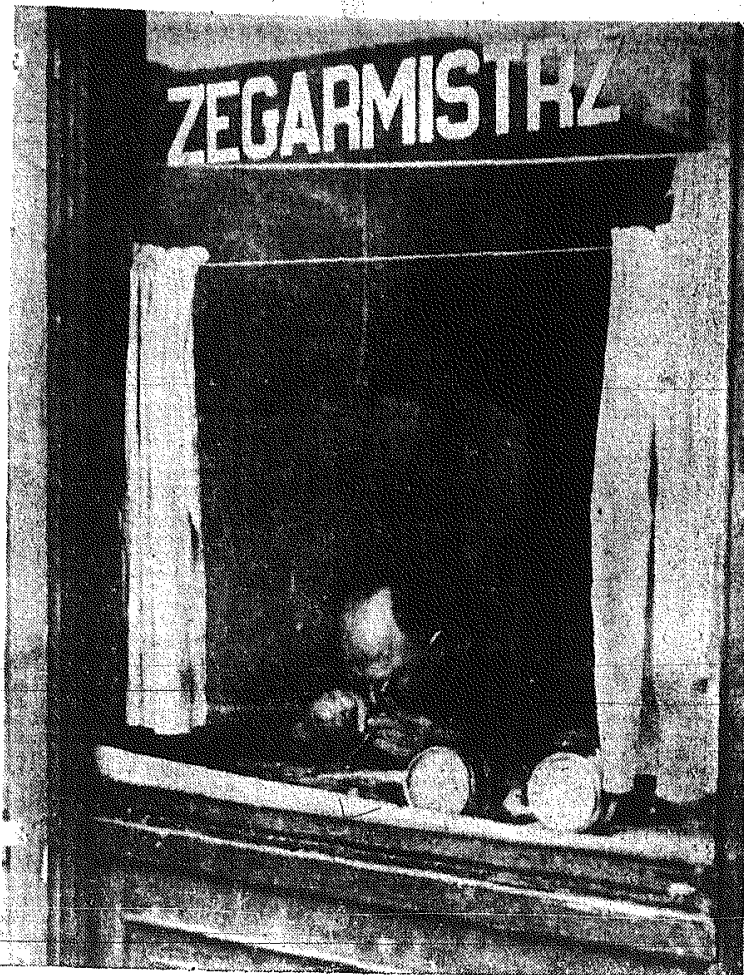


Foto: B. Duda

STATEK-SPUTNIK

FAKTY • OPINIE • ZAPOWIEDZI

CZY BĘDZIE KRAŻYŁ WOKÓŁ ZIEMI DŁUŻEJ NIŻ PRZYPUSZCZANO?

W opublikowanych oficjalnych danych na temat radzieckiego statku satelitarne go brak informacji, jak długo krążyć będzie wokół naszej planety. Pierwsze komentarze uczonych rokowały mu stosunkowo krótki „życiowy”.

Odbiega od nich niezwykle interesująca wypowiedź dyrektora obserwatorium astronomicznego im. Sternberga w Moskwie, prof. dr D. Martynowa, który nie wyklucza, że statek-satellita będzie „żyć” znacznie dłużej niż początkowo przypuszczano.

„Jak wiadomo, już trzeci sputnik zdiwili uczonych całego świata — pisał prof. dr Martynow na łamach „Literaturnoj Gazety”. Istniał on znacznie dłużej niż oczekiwano: prawie dwa lata. Obecnie wiemy dlaczego tak się stało. Pierwsze sputniki wystrzelone zostały i krążyły wokół Ziemi w okresie silnej aktywności Słońca. Górne warstwy atmosfery rozpręczały się wówczas wyżej niż zazwyczaj. Zgęszczone atmosfera silnie „hamowała” lot sputnika, gdy przelatował on w okresie orbity, czyli w punkcie najbliższym Ziemi. Trzeci radziecki sputnik wystrzelony został w okresie osłabienia aktywności Słońca, kiedy zniknęła się wysokość i zmalała gęstość górnych warstw atmosfery. Jego lot hamowany był znacznie słabiej niż lot poprzedników.”

Radziecki statek kosmiczny, wystrzelony 15 maja br., znalazł się na orbicie okołoziemskiej w okresie dalszego osłabienia aktywności Słońca. Dla tego nie trudno przewidzieć — konstataje uczony radziecki — że „hamowany” on będzie jeszcze słabiej niż trzeci sputnik.

Czy oznacza to, że statek satelitarny będzie istniał dłużej niż dwa lata? Raczej nie: kolowa orbita przez cały czas utrzymuje statek stosunkowo blisko Ziemi. Tak więc, atmosfera „hamuje” jego lot w okresie całego obiegu dookoła naszej planety.”

MODEL STATKU-SPUTNIKA JUŻ WKRÓTCE POKAZANY ZOSTANIE MIESZKAŃCOM MOSKWI

Model statku-sputnika, który wkrótce zostanie pokazany mieszkańcom Moskwy, ma kształt kuli. Na jego powierzchni widoczne są liczne szczegóły konstrukcyjne. Model ten ma służyć do celów edukacyjnych i do pokazania, jak wygląda statek kosmiczny z zewnątrz.

Model statku-sputnika, który wkrótce zostanie pokazany mieszkańcom Moskwy, ma kształt kuli. Na jego powierzchni widoczne są liczne szczegóły konstrukcyjne. Model ten ma służyć do celów edukacyjnych i do pokazania, jak wygląda statek kosmiczny z zewnątrz.

Model statku-sputnika, który wkrótce zostanie pokazany mieszkańcom Moskwy, ma kształt kuli. Na jego powierzchni widoczne są liczne szczegóły konstrukcyjne. Model ten ma służyć do celów edukacyjnych i do pokazania, jak wygląda statek kosmiczny z zewnątrz.

Model statku-sputnika, który wkrótce zostanie pokazany mieszkańcom Moskwy, ma kształt kuli. Na jego powierzchni widoczne są liczne szczegóły konstrukcyjne. Model ten ma służyć do celów edukacyjnych i do pokazania, jak wygląda statek kosmiczny z zewnątrz.

Narodowej w Moskwie otwarta zostanie ekspozycja poświęcona statkowi satelitarnemu, wystrzelenemu w dniu 15 maja br. na orbitę Ziemi.

Jak oświadczył na łamach „Komsomolskiej Prawdy”, A. Majorow — pracownik sali rakiet kosmicznych na Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej — zademonstrowany zostanie mieszkańcom Moskwy dokładny model pierwszego pojazdu kosmicznego, oblatującego Ziemię.

Będzie to, jak wynika ze słów A. Majorowa, model naturalnej wielkości — wierna kopia statku-sputnika.

RAKIETA, KTÓRA WYNIOSŁA NA ORBITĘ RADZIECKI STATEK SATELITARNY MOGLĄBY UDZWIŹNĄĆ 65 PASAŻERÓW

Sputnik Nr 3, wystrzelony 2 lata temu, w dniu 15 maja 1958 roku, ważył 1327 kg — tyle, co samochód osobowy marki „Warszawa”. Interesujące zestawienia wagi radzieckiego statku satelitarne go, ułożonego na orbicie Ziemi w II rocznicę wystartowania sputnika Nr 3, przynosi moskiewski dziennik „Izwestia”.

Statek-sputnik waży tyle, co dwa traktory kołowe, albo tyle co dwie ciężarówki (typu naszych „Lublinów”), albo tyle wreszcie co cztery samochody osobowe marki „Moskwicz”.

Rakieta, która wyniosła na orbitę statek-sputnik, mogłaby — jak stwierdzają „Izwestia” — udźwignąć 65 pasażerów!

NA EKRANY MOSKIEWSKIE WCHODZI DOKUMENTALNY FILM „PRZED SKOKIEM W KOSMOS”

Kim są i jak wyglądają pierwsi ludzie, którzy polecą

na statkach — satelitach. w Kosmos? Jak wygląda ich trening przed najmniejszym w historii ludzkości eksperymentem?

Pytania takie zadają od kilku lat wszystkie gazety światła. Jedyną odpowiedzią na nie były dotychczas wypowiedzi naukowców w prasie oraz artykuły, w których snuto domysły i hipotezy na ten temat.

Już wkrótce ujrzymy przygotowania do lotu na orbitę Ziemi w radzieckim filmie dokumentalnym „Przed skokiem w Kosmos”, który — zgodnie z zapowiedzią „Literaturnoj Gazety” — za kilka dni wejdzie na ekrany kin moskiewskich.

Realizatorami filmu są scenarzyści — W. Kapitanowski i W. Szrejberg oraz reżyser W. Morgensztern — ten sam zespół, który stworzył film fabularny „Byłem sputnikiem Słońca”. Nowy film „Kosmiczny” trójki powstaje w Moskwie w Wytwórni Filmów Naukowych. Pokaże on osiągnięcia najmłodszej z nauk — medycyny kosmicznej w walce z przeszkodami biologicznymi, stojącymi na drodze człowieka do Kosmosu.

Realizatorami filmu są scenarzyści — W. Kapitanowski i W. Szrejberg oraz reżyser W. Morgensztern — ten sam zespół, który stworzył film fabularny „Byłem sputnikiem Słońca”. Nowy film „Kosmiczny” trójki powstaje w Moskwie w Wytwórni Filmów Naukowych. Pokaże on osiągnięcia najmłodszej z nauk — medycyny kosmicznej w walce z przeszkodami biologicznymi, stojącymi na drodze człowieka do Kosmosu.

Realizatorami filmu są scenarzyści — W. Kapitanowski i W. Szrejberg oraz reżyser W. Morgensztern — ten sam zespół, który stworzył film fabularny „Byłem sputnikiem Słońca”. Nowy film „Kosmiczny” trójki powstaje w Moskwie w Wytwórni Filmów Naukowych. Pokaże on osiągnięcia najmłodszej z nauk — medycyny kosmicznej w walce z przeszkodami biologicznymi, stojącymi na drodze człowieka do Kosmosu.

Realizatorami filmu są scenarzyści — W. Kapitanowski i W. Szrejberg oraz reżyser W. Morgensztern — ten sam zespół, który stworzył film fabularny „Byłem sputnikiem Słońca”. Nowy film „Kosmiczny” trójki powstaje w Moskwie w Wytwórni Filmów Naukowych. Pokaże on osiągnięcia najmłodszej z nauk — medycyny kosmicznej w walce z przeszkodami biologicznymi, stojącymi na drodze człowieka do Kosmosu.

RAZ NA TYDZIEŃ

Udział w „Dniach Oświaty”, w kermaszu, festynach, wystawach stał się od paru lat nie tylko społecznym obowiązkiem działaczy kulturalnych — oświatowych, lecz zwracaniem niemal powszechnym.

„Dni Oświaty”, nie sprawa się do jednorazowego kontaktu, szerszego, niż codziennie, czytelników z książką, obywateli — z problemami oświaty i kultury. Pozostają trwałe osiągnięcia, które z tą czy inną częścią z tej corocznej imprezy następny stopień kulturalnego rozwoju kraju.

Faktem najbardziej bezpośrednio uchwytynym w ciągu trwania imprez jest ogromne zwiększenie kręgów bezpośrednich odbiorców kultury, zdobycie nowych czytelników, spopularyzowanie nowych wydawnictw, pokazanie choćby jednorazowo dorobku z jakiegokolwiek dziedziny wiedzy lub kultury.

Naczelna Rada Społeczna wprowadziła w tym roku szerokie popularyzacje literatury (achowej), szczególnie różnorodnej w spotkaniu z czytelnikiem. Związek Młodzieży Wileńskiej zainicjował w „Dniach Oświaty”, obok innych imprez, powstanie szeregu kół zainteresowań technicznych, kulturalnych, turystycznych — krajoznawczych (np. kół filmowe, fotograficzne, kół miłośników muzyki, radiotechniki itp.).

Tegoroczne „Dni Oświaty” przyciągnęły również Związek Izb Rzemieślniczych do bezpośredniego uczestnictwa we wszystkich ogólnych imprezach, wysunęły w tym

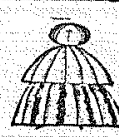
dowiadu na czoło podnoszące kwalifikacji zawodowych. Biblioteki cechowe zostały zaopatrzone w nowe toki przygotowane do tego rocznych „Dni” w wydawnictwa odpowiednie dla rękodzielników, w katalogi wydawnictw fachowych i zebrały bibliograficzne.

„Dni Oświaty” zbiegły się w tym roku z zapoczątkowaniem trwałej współpracy wielu organizacji i instytucji, mającej na celu skierowanie uwagi ruchu kulturalno-oświatowego na podniesienie kultury technicznej.

Można z całą pewnością stwierdzić, że — poza dotychczasowymi efektami — „Dni Oświaty” wnoszą także trwałe elementy do życia kulturalnego. Wydaje się, że lata następujące w jeszcze większym stopniu, niż rok bieżący, przyniosą przesunięcie punktu ciężkości „Dni” z jednorazowych imprez na stwarzanie możliwości najbardziej nieprzemijających faktów kulturalnych.

„MAGAZYN NIEDZIELNY”

Jan Purski garncarz-muzykant



Kieleszczyna dzięki swoim bogactwom naturalnym w ciągu wielu wieków słynęła w całym kraju a nawet i za granicą z wyrobu naczyń glinianych. Pod koniec XVIII wieku było na tych terenach przeszło sto młekskich i wiejskich ośrodków garncarstwa. Wysokowartościowy surowiec — glina, występowała tu wszędzie — a więc wszędzie były warunki do powstania ośrodków tego rzemiosła. Jednak w XIX wieku w okolicy rozwijał się przemysł i manufaktury, zaprzestano na naczynia gliniane zaczęło się zmniejszać, a ich miejsce zaczęły zajmować wyroby fajansowe i kamionkowe z licznymi wówczas w Kieleszczynie fabryk i coraz częściej występujące maszynami metalowymi.

raz w tygodniu. Zabraniano też uczniom w szkole mówić po polsku.

W 1903 roku, kiedy do Sobkowskiej dotarły wiadomości o ruchach i strajkach w całym kraju, Purski (miał wówczas 13 lat) stał się organizatorem uczniowskiego strajku, którego treścią było układowanie przez niego hasła „Kiedy wszyscy walczą o wolność to my też domagamy się dla nas słowa polskiego”. W szkole nauczycielem był wówczas nauczyciel Julian Grejmas — z pochodzenia Litwin. Kiedy w pierwszym dniu strajku przyszedł on do szkoły — widząc że wszyscy uczniowie mają na ławkach polskie książki — bezpośrednio po modlitwie zaczął odpisywać „Bóg cię chroni”, a że była klasa młodsza, zwrócił się do Purskiego, żeby on sam zaśpiewał — na co ten mu odpowiedział: „Nie wszyscy umiemy po rosyjsku. Chcemy się uczyć po polsku, bo nie chcemy zapomnieć swego języka”. Nauczyciel zaczął namawiać początkowo a następnie straszyć karami, wszystkie uczniów, na co otrzymywał w odpowiedzi: „Chcemy się uczyć po polsku”. „Chcemy się uczyć po polsku”.

Po tej pierwszej niedanej lekcji wszyscy uczniowie przeszli się do domów i przez sześć tygodni nie przychodzili do szkoły. Rodzice strajkujących uczniów obawiali się represji ze strony władz lub co najmniej zamknięcia szkoły w Sobkowie. Po tym okresie nauczyciel wezwał wszystkich uczniów do szkoły, pozwolił im mówić między sobą w szkole po polsku a także powiększył liczbę lekcji języka polskiego. Purski jako organizator tego strajku, pomimo obaw, nie miał żadnych przykrości — tylko od czasu do czasu nauczyciel w latach nauki go „buntowaczkiem”.

W międzyczasie Purski pomagał ojcu uczyć się garncarstwa. Poznanie tego rzemiosła nie było jego celem. Robił to raczej z konieczności. Głównym jego zainteresowaniem w tym okresie była muzyka — to też zdobył sobie skrypcę i uczył się grać ze słuchu. Po pewnym czasie wrodzone zdolności pozwoliły mu osiągnąć taki poziom, że mógł założyć własną kapelę, która była wyjątkowa na wesoła w Sobkowie i w pobliskich wioskach.

Kiedy w 1912 roku rodzice Purskiego przeniesli się z Sobkowa do Sobótki, kontakt jego z kapelą został zerwany. On sam zaczął radzić grę na „wielkich weselach” i w końcu ze względu na to, że „na chłopach weselach bardzo często bywały bójkę” zarzucił całkowicie grę. Chętniej grał na spokojniejszych weselach żydowskich w Mielniku, Odrowążu, Białymie itp.

P.G.
d.c.n.

Tu można sobie ponarzekać

IRENA SZALAYOWA — KIEROWNIK ANTYKWARIATU.

Bardzo się cieszę, że mogę „sobie ponarzekać” na sprawy, które na pewno nie mnie jednej utrudniają życie. Są one denerwujące tym bardziej, że chociaż drobne, dokuczają codziennie i to można by je łatwością zlikwidować.

Zaczęłam od aptek. Co za fatalna organizacja pracy! Przy jednym okienku oddaje się recepty, nabywa specyfiki, kupuje wate, jodynę, próbkę na ból głowy lub inną drobnostkę i odbiera lekarstwa zamówione. Jestem pełna uznania dla naszych aptekarek (sa to przeważnie kobiety), że w tych warunkach mogą się skupić przy obliczaniu, że nie popełnią katastrofalnych omyłek, że nie „wychodzą z nerwów”. Każdemu się spieszy, a trzeba obsługiwać jeszcze tych, którzy mają prawo bez kolejki spytać, czy dane lekarstwo jest w aptece. Apteka to koszmarnie, gdzie nie liczą się: czas klienta ani odporność nerwowa aptekarki. Czy nie można by — przynajmniej w godzinach największego nasilenia — zorganizować dwóch okienek, w których czynności byłyby rozdzielone?

Druga plaga są spółdzielnie spożywcze, gdzie jest w sztyko. Aby kupić kostkę

masła w ciągu dwóch minut, trzeba przeczekać większą kolebkę, która zapatrzuje się w 10 najrozmaitszych artykułów — począwszy od cukru, skończywszy na mydle. Skoro już w sklepie jest to wszystko (przy stałym u nas kolejkach) powinny być działy, tak jak w „Delikatesach”, żeby jeden klient nie tamował — kupił na godzinę. Stąd te wieczne „ogonki” dobre chyba tylko dla tych, którzy traktują je jako rozrywkę towarzyską.

Kiedy ma się zaopatrywać w podstawowe artykuły spożywcze (mięso, wędliny) osoba pracująca — samotna? Rano nie ma czasu stać w kolejce, a po południu — niektóre towary są wykupione. Przy lepszej organizacji i na to znalazłby się sposób, ale nikt nie myśli o ułatwieniu dla klienta. Myśli się tylko o tym, co jest dobre dla handlu.

Nie wspominałam o zaopatrzeniu, remanentach, odbiorze towaru, zbyt małym personelu i tych wszystkich bolączkach, o których pisze się od lat bez skutku.

No, trochę sobie użyltam, ale czy moje narzekania dojdą do adresata?

I jeszcze parę słów... z innej beczki”. Zainicjowałam dla sklepu lampy jarzeniowe. Jedną okazała się dobra, druga — „nie chciała” się zapalić. Okazuje się, że dużo jest jeszcze towarów wybrakowanych. Na bywcy takich towarów mają „czekować” aż do śmierci. To o zmianie nie ma mowy. Traci klient. Cygan zawinił kowalski. No i jak tu nie narzekać.

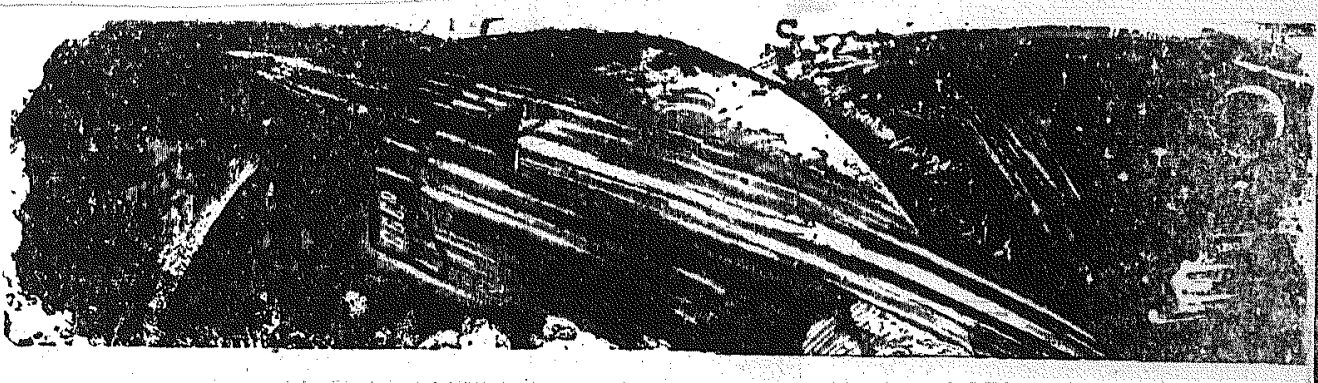


Jan Purski

Jednym z takich zamierzających ośrodków stał się Sobków w pow. jedrzejskim. Jeszcze w pierwszych latach XX wieku cech garncarski, do którego poza miejscowymi należeli garncarze z Kawczyna i Wierzbicy k. Sobkowa, liczył 45 członków. Jedną dotkliwą braki drzewa, niezbędne go do wypalania naczyń, oraz coraz to większe trudności ze zbieraniem swoich wyrobów już przed pierwszą wojną światową zmusiły wielu z nich do zarzucenia swego rzemiosła lub też przeniesienia się do tych rejonów. Kieleszczyn, gdzie umiejętności garncarskie były poszukiwane i przynosiły dochody.

Ostatnim cechmistrzem cechu garncarskiego w Sobkowie był PIOTR PURSKI wybrany w 1908 roku. Był to już okres upadku cechu i tamtejszego garncarstwa — mimo to Purski nauczył swego zawodu dwu synów — Wincentego i Jana.

Jan Purski urodził się w 1892 roku w Sobkowie, gdzie też zaczął chodzić do szkoły gminnej (tzw. „wołosinowej uczyszcz”). Językiem wykładowym w tej szkole był język rosyjski — natomiast lekcje języka polskiego odbywały się jeden



KDE DOMOV MUJ

JERZY BUTWILLO

Materiał oparty na autentycznych faktach z okresu okupacji niemieckiej w naszym mieście. Autor zachował prawdziwe imiona i nazwiska, a fabryka, którą wspomina, jest dawną hutą „Ludwików”.

W samym środku zdykca, które w moim albumie zaczyna się z tytułową: „Rok 1943”, stoi ten „przeklęty Zyd” — Erich Pergelt. Właściwie nawet go dobrze nie widzę. Czapkę cyklistówkę ma nasuniętą głęboko na oczy, tak jak zwykle nosił, na sobie długie, papierowe fartuchy, w palcach trzyma papierosa — pewnie „Egipski”, bo takie lubił.

Nie wiem, Erichu, gdzie są Twoje pamiętniki, te, które pisałeś skrawkiem czołwa na kartkach kradzionych z kantorki. Pewnie zabrałeś je ze sobą... Ale oto Twój album. Tak wytrwale przez Ciebie chroniony i przyniesiony mi pokryjmu wiedę, gdy już straciłeś wiarę w ocalenie. Piękna, czerwona oprawa ze skóry z „twojej” firmy w Pradze, jest nienaruszona. I w środku wszystko tak, jak było: bibułka, a pod bibułka starannie wymalowane słowa: „Kde domov muj?”

Przechowałem go, Erichu, pamiętając, jak bardzo zależało Ci na tym, aby chociaż zostało. Z pustym wózkem do magazynu, z pełnym do krawalni, 200 kilogramów po szynach w jedną stronę, 800 kg w drugą. Od rana do wieczora. Przetrzymałem 11 godzin na dobie. To była robota staro-pergelta. Jedził, tam i — powrótem, zgłębł nad żelazną skrzynką, potykając się o za długie fartuchy. Gdy dojeżdżał do drzwi krawalni, spod czapki ściekały mu strumyki potu. Wycierał je szybko, żeby nikt nie zobaczył. Niewolnikom nie wolno się niegdyś. W fabryce pracowała dość liczna grupa Żydów. Najlepsi do tych, którzy ocalili przy likwidacji kilkuletniego getta. Wszyscy inni poszli do gazu lub zostali rozwaleni pod nasympem kółek. Tych kilkuset zostawiono przedłużając im życie, aby pomogli do zwycięstwa. Pchali wózki, wpałeni w wielkie napisy na murze: „Räder müssen rollen für den Sieg”.

Moje rozmowy z Pergeltem odbywały się przeważnie w cieniu olbrzymiej maszyny „Weingarten” do cienia blachy. Wyskakiwałem tam z kantorki w przerwach na drugie śniadanie. Za maszyną wydawało się nam brzośniejszy. Jej potężny korpus niby stalowy pancierz chronił nas przed światem. Wiedziałem, że gdy skieruję tam kroki, zaraz podejść Pergelt i, jak zwykle, niespokojnie zapyta:

— Was gibt's neues? — Wraczałem mu „Kakauer Zeitung”, którą skrzętnie wuwał pod fartuch i opowiadałem co lepsze wieści z naszej podziemnej prasy. Był mieniaszony i codziennie żądał mojej opinii:

— Kiedy skończy się wojna? — Nie wiem, panie Pergelt — mówiłem — nie wiem. — Czy to potrwa jeszcze ten rok, jak pan myśli? — dopytawał się nie zrazony. — Dla nas czas inaczej się liczy niż dla was, niech pan się nie dziwi. Moja żona mówi, że jeszcze jeden rok...

— Nie wiedziałem, że pan ma żonę...

Pergelt spojrzal mi w oczy, jakby chciał zwać moje sumienie.

— Nie mówiłem panu o tym. Ona jest Aryjka, nawet gorzej — jest Niemką z pochodzenia i mieszka w

mieście, tam po waszej stronie.

W ten sposób dowiedziałem się o Tony. Ukryty za maszyną poznałem początek historii, której koniec miał się rozegrać na moich oczach.

Gdy przed 10 laty brałmy ślub w Hamburgu — opowiadał Pergelt — już było źle. Musieliśmy uciekać przed pogromami. Wybraliśmy Pragę. Tam było nam bardzo dobrze. Pracowałem w firmie skrzynkarskiej. Tony też. Ona, wie pan, jeździła po skórze aż do Afryki. Myślałem, że w Pradze będzie mi całkiem bezpiecznie. Ale ten spokój nie trwał długo. Oni przyszli za nami do Pragi w niedługim czasie. Wtedy uciekliśmy do was, do Polski. Gdy weszliśmy do Polski, wiedziałem, że już nie ma co dłużej czekać.

Erich wyjął z portfela dwa seledynowe papierki

cy z północy. Na podłodze koło piecyka stała na pół otwarta ceratowa torba. Z torby wystawały przygotowane do drogi garniki.

— Nie powinna pani dziś wychodzić — radziłem — okropnie ciepło.

Popatrzyła na mnie roztargnionymi, niespokojnymi oczami. Zawartość naczyń z plecyka wiewiała powoli do dużej, czerwonej banki.

— Dziś muszę iść, bo wczoraj nie byłam. Pań nic nie wie, Erich ma chorą wątrobę i żołądek. Co on tam może sobie kupić? I kto mu ugotuje?

Tak, wiedziałem dobrze, że poza głodowymi przydziałami nie może kupić. Opowiadał mi, jak czekał codziennie na nią, spacerując niespokojnie pod płotem, który odgrzała ich obóz, zwany „małym gettem”, od reszty domów. Ale nie zawsze przychodziła. Martwił się wtedy przez cały dzień w fabryce, nie mogąc doczekać wieczora, że może ją zapać.

Obwiązała sznurkiem torbę z garnikami, zarzuciła na siebie krasiasty, kusy płaszcz i chustkę. Szybkim ruchem nachyliła się nad łóżkiem i wyjęła spod materaca dwa pudełka papierosów z dobrze mi znanymi rysunkami nagiach łuczników na kwadrzydzie.

— „Egipskie”.

— Mówił mi Erich, że pani przed wojną jeździła do Afryki.

— Jeździłam, kupowałam skóry, pan wie, z tych... no... antylop. Potem to się farbowało w naszej firmie i robiło różne, ładne rzeczy. Oh, mój Boże, czy to tak można cierpieć za nic, zumełnie za nic?

Na ulicy dmuchał zimny, jesienno wiatr. Pobiegła wyczuwając tamtych lat tuż pod murem, lustrując z daleka oczami każdy narożnik.

Widywałem potem Tony bardzo często. Uśmiechając się, przyszedł do mojej ciężkiej listy, papierosy, czasem jakiś suchy prowiant.

— Fur, Erichlein — dla Erichka.

Wieczorem wpadała do naszego domu, aby się dowiedzieć, czy Erichlein to odebrał i jak się czuje, bo ona dziś nie może tam iść. Ma lekcie.

— Dobrze się czuje — odpowiadałem — zupełnie dobrze.

Fabryka rozpoczęła nową produkcję. Robiliśmy teraz małe, zwinnące wozy chłopięce, nazywane przez Niemców dziwnie „Panjewagen”. Robiono je seryjnie, na wzór wózków rosyjskich, z dwoma obejmującymi konia dyszelkami, złączonymi u goły palnikiem. Takie wozy spotkać można i na naszym Podlasiu. Wprost z bocznej fabrycznej „Panjewagen” wysyłały by na wschodni front.

Do roboty goniono wszystkich twardo i bezwzględnie. Prace przedłużono do 12 godzin. Erich Pergelt już nie nadążał. Osłabł, co-gi płaćmy się między szynami kolejką i wydawało się chwilami, że to nie on popycha wózek z żelazem, ale że wózek ciągnie jego. Znajdowaliśmy jednak codziennie chwile czasu na parę słów za rozejmem „Weingarten”.

— Oni muszą tę wojnę przegrać — upierał się Pergelt. — Oni nie mają wszystkich Niemców za sobą. Moja Tony na przykład

cy z północy. Na podłodze koło piecyka stała na pół otwarta ceratowa torba. Z torby wystawały przygotowane do drogi garniki.

— Nie powinna pani dziś wychodzić — radziłem — okropnie ciepło.

Popatrzyła na mnie roztargnionymi, niespokojnymi oczami. Zawartość naczyń z plecyka wiewiała powoli do dużej, czerwonej banki.

— Dziś muszę iść, bo wczoraj nie byłam. Pań nic nie wie, Erich ma chorą wątrobę i żołądek. Co on tam może sobie kupić? I kto mu ugotuje?

Tak, wiedziałem dobrze, że poza głodowymi przydziałami nie może kupić. Opowiadał mi, jak czekał codziennie na nią, spacerując niespokojnie pod płotem, który odgrzała ich obóz, zwany „małym gettem”, od reszty domów. Ale nie zawsze przychodziła. Martwił się wtedy przez cały dzień w fabryce, nie mogąc doczekać wieczora, że może ją zapać.

Obwiązała sznurkiem torbę z garnikami, zarzuciła na siebie krasiasty, kusy płaszcz i chustkę. Szybkim ruchem nachyliła się nad łóżkiem i wyjęła spod materaca dwa pudełka papierosów z dobrze mi znanymi rysunkami nagiach łuczników na kwadrzydzie.

— „Egipskie”.

— Mówił mi Erich, że pani przed wojną jeździła do Afryki.

— Jeździłam, kupowałam skóry, pan wie, z tych... no... antylop. Potem to się farbowało w naszej firmie i robiło różne, ładne rzeczy. Oh, mój Boże, czy to tak można cierpieć za nic, zumełnie za nic?

Na ulicy dmuchał zimny, jesienno wiatr. Pobiegła wyczuwając tamtych lat tuż pod murem, lustrując z daleka oczami każdy narożnik.

Widywałem potem Tony bardzo często. Uśmiechając się, przyszedł do mojej ciężkiej listy, papierosy, czasem jakiś suchy prowiant.

— Fur, Erichlein — dla Erichka.

Wieczorem wpadała do naszego domu, aby się dowiedzieć, czy Erichlein to odebrał i jak się czuje, bo ona dziś nie może tam iść. Ma lekcie.

— Dobrze się czuje — odpowiadałem — zupełnie dobrze.

Fabryka rozpoczęła nową produkcję. Robiliśmy teraz małe, zwinnące wozy chłopięce, nazywane przez Niemców dziwnie „Panjewagen”. Robiono je seryjnie, na wzór wózków rosyjskich, z dwoma obejmującymi konia dyszelkami, złączonymi u goły palnikiem. Takie wozy spotkać można i na naszym Podlasiu. Wprost z bocznej fabrycznej „Panjewagen” wysyłały by na wschodni front.

Do roboty goniono wszystkich twardo i bezwzględnie. Prace przedłużono do 12 godzin. Erich Pergelt już nie nadążał. Osłabł, co-gi płaćmy się między szynami kolejką i wydawało się chwilami, że to nie on popycha wózek z żelazem, ale że wózek ciągnie jego. Znajdowaliśmy jednak codziennie chwile czasu na parę słów za rozejmem „Weingarten”.

— Oni muszą tę wojnę przegrać — upierał się Pergelt. — Oni nie mają wszystkich Niemców za sobą. Moja Tony na przykład

cy z północy. Na podłodze koło piecyka stała na pół otwarta ceratowa torba. Z torby wystawały przygotowane do drogi garniki.

— Nie powinna pani dziś wychodzić — radziłem — okropnie ciepło.

Popatrzyła na mnie roztargnionymi, niespokojnymi oczami. Zawartość naczyń z plecyka wiewiała powoli do dużej, czerwonej banki.

— Dziś muszę iść, bo wczoraj nie byłam. Pań nic nie wie, Erich ma chorą wątrobę i żołądek. Co on tam może sobie kupić? I kto mu ugotuje?

Tak, wiedziałem dobrze, że poza głodowymi przydziałami nie może kupić. Opowiadał mi, jak czekał codziennie na nią, spacerując niespokojnie pod płotem, który odgrzała ich obóz, zwany „małym gettem”, od reszty domów. Ale nie zawsze przychodziła. Martwił się wtedy przez cały dzień w fabryce, nie mogąc doczekać wieczora, że może ją zapać.

Obwiązała sznurkiem torbę z garnikami, zarzuciła na siebie krasiasty, kusy płaszcz i chustkę. Szybkim ruchem nachyliła się nad łóżkiem i wyjęła spod materaca dwa pudełka papierosów z dobrze mi znanymi rysunkami nagiach łuczników na kwadrzydzie.



Fot. Tamara Janowska

FILARY — WIECZOREM



Fot. Jerzy Kamoda

I cała jej rodzina. To jest, proszę pana, ta „druga twarz Niemiec” — „das zweite Gesicht Deutschlands”.

Opowiedział mi wtedy hamburski dowiep, wymierzony przeciwko „Nazi”.

W hamburskich sklepach rybnych sprzedawano dwa gatunki śledzi: zwykły i bismarckowski. Pewnego razu do takiego sklepu wszedł umundurowany NSDAP-owiec, krzyknął: „Heil Hitler!” i zażądał śledzi.

„Jakich śledzi pan sobie życzy, zwykłych, czy bismarckowskich?” — zapytał młody sprzedawca.

„Hitlerowskich!” — wykrzyknął bojowkarz w mundurze.

„Niestety, takich jeszcze nie mamy!” — odparł subtelnie.

„Co?! — wrzeszczał tłum — bismarckowskie ma-

cie, a hitlerowskich nie?! Poczekaj ty, jak ja tu wrócę za chwilę, to zobaczysz, czy nie znalazł się hitlerowski śledzie!”

Przerazony chłopak pobiegł czym prędzej do pryncypała.

„Ty głupcze — obruszył się stary kupiec — należało wybrać najgorszego śledzia, jaki jest, wyjąć mu nożem mózg, szeroko otworzyć pysk i dać temu, co chciał. Niech by miał hitlerowskiego śledzia!”

Najazłusz Pergelt przyniósł do fabryki jakiś płaski pakiet i wręczył mi go po cichu.

— Mam złe przeczuca — powiedział — niech pan to weźmie i przechowa u siebie. Szkoła, żeby wpadło w ich ręce.

Nie pozwolił mi zajrzeć do środka, aż w domu.

— Tam jest wypisana taka pleśń — dodał — Czeska pleśń: „Kde domov muj?”

Może pan ją stłuszył? Nie?... Wyjął z ust papierosa, oparł się o maszynę. Jego oliwkowa, semicka cera na brzoła rumieńców. Bezdomny Żyd, ożeniony z Niemką, uwieziony przez Niemców w polskiej fabryce, śpiewał czeski hymn narodowy:

„Vode hudi po ludech kory sumi po smutkach v sade skvi se jara svet zemsky raj to na pobied...”

Pierwszy raz słyszałem tę melodię i te słowa. Była to pleśń o skopany buciorami szczęściu Ericha Pergelta i Tony z Hamburga. O ich mieszkaniu nad Weingarten i fabryczną, w której farbowało skóry długonogich antylop.

Nagle wszystko skończyło się. W ciemny i dżdżysty wieczór listopadowy na ulicy Stolarskiej, która graniczyła z „małym gettem”, ludzie usłyszeli najpierw krzyki, potem dwa strzały i znowu krzyki. Za chwile pilnujący getta patrol policjantów poprowadził skuloną postać kobiety w krucianym płaszczu i z chustką na głowie. Kobieta niosła w ręku torbę z garnkami, które dzwoniły na wybojach.

„Rozmowa” komendanta policji, Gajera, z Tony miała krótki przebieg.

— Schämtest du dich nicht so einem dreckigem Juden jeden Tag das Fresen bringen?

— Das ist doch mein Mann...

— Was denn — zaryczył Gajer — aber Jude!..

Do pokoju przestępca wprowadzono Ericha. Gdy zobaczył żonę, podbiegł, jakby szukając u niej ratunku. Nie panował nad sobą. Plakał.

— Tony, mein liebes Tontschlein!..

Z oberwanego rękawa marynarki wystawała mu

gola ręka, a twarz pokrywała śliska i strupa. Wspaniałomyślny Gajer pozwolił poognąć się im ze sobą, zaznaczając, że wyjątek ten robi tylko ze względu na Tony, która mimo wszystko jest Niemką.

Jeszcze tego samego dnia „buda” wywoziła Ericha na żydowski cmentarz, zwany „Kierkuten”. Kazali mu biec w kierunku rowu, ale upadł po kilku krokach. Kopniakami zmuszono go do powstania, a gdy znowu upadł, kulami przybito do ziemi.

Tony opuściła areszt z nowymi dokumentami w ręku. Jej małżeństwo z Pergeltem uznano za niebyłe i wypisano nowy paszport na panienskie nazwisko. Aby mogła odkupić swoje przestępstwo, kazano jej przez trzy miesiące pracować karmie w Stadtkommandanturze. Po upływie tego czasu była wolna. Wydano jej bezpłatny bilet kolejowy do rodzinnego Hamburga i oświadczono, że „sprawę uważa się za całkowicie załatwioną”.

Przed odjazdem jeszcze raz przyszła do nas, zalaną łzami. Teraz było wiadac, że jest już stara.

— Wracam tam, skąd wyszłam, aby przez jedenaście lat towarzyszyć mężowi w jego tułaczce — powiedziała na pożegnanie.

I już nikt jej w naszym mieście nie widział.

1) Dosłownie: Gdzie moja ojczyzna? — tytuł i pierwsze słowa czeskiego hymnu narodowego.

2) „Kola muszą toczyć się ku zwycięstwu” — jeden z hitlerowskich sloganów propagandowych.

3) — Co nowego słychać?

4) — I ty się nie wstydzisz tak codziennie nosić tarcie temu: zas... Żydowi!

5) — Przecież to jest mój mąż.

6) — Co z tego? Ale Żyd!

7) — Tony, moja kochana Tontschko!



W maju wyleciała trzema samolotami z Paryża na Grenlandię grupa badaczy polarnych. Znalazła się wśród nich także jedna kobieta - inżynier wyprawy, panna Christine Gillet. Jest to ostatnia między narodowa ekspedycja glaciologiczna w której uczestniczyły: Francja, Szwajcaria, Austria, Dania i NRF. Tym razem wyprawa zabierze również ze sobą z powrotem 6 ludzi, którzy już od roku żyją w samotności w jednej z załazonych na Grenlandii stacji naukowych. Na zdjęciu: jedna kobieta wyprawy Christine Gillet. CAF

NOWY WARIANT SAMOLOTU IL-18

Znany radziecki konstruktor lotniczy Sergiusz Iluszyj ujawnił na łamach „Komsomolskiej Prawdy”, że pracuje obecnie nad nowym wariantem samolotu pasażerskiego IL-18. Olszym ten będzie jeszcze większy od dotychczasowego „krążownika powietrznego”, wprowadzonego na linie pasażerskie ZSRR. Będzie on poza tym znacznie tańszy w eksploatacji.

Pierwszy wariant IL-18 uchodził już zresztą, jak wiadomo, za najtańszy w eksploatacji samolot turbopropellerowy na świecie. Posiada on krótki rozbieg i osiąga szybkość komunikacyjną ok. 650 km/godz. W ciągu ostatnich dwóch lat IL-18 zapisał na swoim koncie 13 rekordów lotniczych świata i 14 Związku Radzieckiego.

WŁODZIMIERZ KOKKINAKI NIE MYŚLI O EMERYTURZE

Jeden z najstarszych oblatywaczy radzieckich, wielokrotny rekordzista świata - słynny pilot Włodzimierz Kokkinaki - zaczął pisać pamiętniki. Fragmenty swych wspomnień, dotyczących lat dzieciństwa i młodości, zamieścił na łamach pisma „Sowietskij Sport”. Kokkinaki zdradza, że był swego czasu reprezentantem bramkarzem Noworossyjska i reprezentantem Leninogrodu w pchnięciu kulą na I Spartakiadzie w Moskwie w 1928 roku.

Kokkinaki stwierdza, że ani myśli o emeryturze. Jak wiadomo, trzy miesiące temu do spadanych przez siebie rekordów sprzed 20 lat pilot ten dorzucił dalsze pięć rekordów świata.

Włodzimierz Kokkinaki ma 56 lat. Jego wiek i ostatnie sukcesy przeczą przyjętemu ogólnie poglądowi, że zawód oblatywcy jest domeną wyłącznie młodych pilotów.

„RAKIETA-2” JUŻ NA WODZIE

Na kanale im. Moskwy rozpoczął regularną żeglugę nowy radziecki statek o podwodnych skrzydłach - „Rakieta-2”. Stanowi on ulepszoną wersję pierwszego radzieckiego statku tego typu, spuszczanego na wodę w 1957 roku przez słynnego reżysera wycieczkowe „Rakiety-2” cieszą się olbrzymim powodzeniem wśród mieszkańców Moskwy. Statek-ekspres rozwija szybkość 70 km/godz.

W maju Moskiewska Żegluga Rzeczna otrzymała ponadto pierwszy „Meteor” - statek zabierający 150 pasażerów i osiągnął szybkość 80 km/godz. Jak informują „Izwestia”, statki o podwodnych skrzydłach rozpoczęły w tym roku rejsy nie tylko pod Moskwą, lecz również na szlakach wołańskich, na

CIEKAWOSTKI

Dnieprze i na największej syberyjskiej rzecze - Lenie.

NOWE MONETY RADZIECKIE OPRACOWALI TWORCY PROPOZCJA WYSTRAŁONEGO NA KSIĘŻYC

Podczas gdy w moskiewskiej Wytwórni Papierów Wartościowych przystąpiono do drukowania nowych papierowych rubli, menelita-łeningradzka zaczęła biec „ciężkie” monety radzieckie, które wejdą do obiegu z dniem 1 stycznia 1931 roku.

Szkice tych monet opracowali rysownicy, którzy są autorami projektu metalowego propozc, wystrzelonego na Księżyc. Propozc wykonany został również w mennicy łeningradzkiej.

Kolor nowych monet pozostaje ten sam, jednakże wykonane one zostaną z nowego stopu metalu, który pozwoli im zachować rysunek przez dziesiątki lat. Zanim wybrano właściwy stop, przeprowadzono ponad 100 prób.

Produkcja nowych monet będzie całkowicie zautomatyzowana i maszyną nadadzą z pewnością z „produkcją” ilości bilionu dla tak wielkiego państwa, jakim jest Związek Radziecki.

Po katastrofie Agadiru drugie z kolei w tym roku miasto, które zostało zniszczone zostało przez trzęsienie ziemi. Nasuwa się pytanie, czy ziemskie ruchy tworzące wywołują jakieś określone nasilenie i czy znaleźć można jakiś związek trzęsień ziemi z innymi zjawiskami przyrody?

Ilość wszystkich wstrząsów poruszających powierzchnię naszej planety sięga co najmniej kilkuset tysięcy. Nie są one jednak, szczególnie największe trzęsienia katastrofalne, rozmieszczone w czasie równomiernie. Niektóre lata - widzą to z najstarszych kronik - były wyjątkowo w nich obfite, po czym następowały dłuższe okresy względnie spokoju. Skłania to do uczynienia do poszukiwania w tych zjawiskach jakiegoś określonej prawidłowości, jednak badania te nie zostały uwieńczone powodzeniem.

DLACZEGO W ZIMIE?

Związek trzęsień z innymi zjawiskami przyrody niewątpliwie istnieje, ale wpływy te mogą być tak różnorodne, iż trudno je od siebie oddzielić. Zauważono np. już dawno, że trzęsienia ziemi częściej następują w zimnych porach roku niż latem. Potwierdzają to liczne zestawienia statystyczne robione zarówno dla północnej półkuli naszego globu jak i dla południowej.

Przyczyny tego zjawiska widzą w zmianach ciśnienia atmosferycznego, które - nie możemy zapominać - przynosił każdy metr kwadratowy powierzchni ziemi z siłą ponad 10 ton. W zimie na znacznych obszarach pogoda ma charakter wyjątkowy, a każdy milimetr słupa rtęci „dorzuca” na metr kwadratowy kilkanaście kilogramów. Jeżeli taka zmiana obciążenia nie jest jeszcze przyczyną powstawania naprężeń i wstrząsów ziemi, to na pewno sprzyja ujawnieniu się sił wewnętrznych, bliższych już granicy wytrzymałości skał. Ciśnienie atmosferyczne, a właściwie gwałtowna jego zmiana może więc być kroplą przepadającą puchar. Badania porównawcze meteorologów i sejsmologów wykazały wyraźną zależność obydwu zjawisk, jeżeli chodzi o trzęsienia z ogniskiem (epicentrum) znajdującym się stosunkowo płytko pod powierzchnią ziemi.

GDY MAGNESTY TRACĄ ORIENTACJĘ

Innym zjawiskiem często towarzyszącym trzęsieniom ziemi są burze magnetyczne, nagłe odchylenia kłerek kompasu. Zjawiska te zanotowane zostały już w pierwszej połowie XIX wieku. Co najważniejsze, w niektórych wypadkach igła kompasowa traciła orientację już na dwa dni przed zbliżającym się trzęsieniem ziemi, jak to zdarzyło się np. w 1884 roku w Lizbonie.

O powodowanie zaburzeń magnetycznych podejrzewano początkowo przesuwanie się skał o właściwościach magne-

...ZANIM NASTĄPI TRZĘSIENIE

tycznych wewnątrz skorupy ziemskiej. Obecnie uczeni większą wagę przywiązują do zaobserwowanych w laboratoriach zmian magnetyczności niektórych ciał pod wpływem ścisania i ruchów falowych. Obydwa te warunki występują w czasie trzęsienia ziemi, a naprężenia ścisające wyprzedzają je, co tłumaczy wcześniejsze pojawianie się zaburzeń magnetycznych.

GROM Z JASNEGO NIEBA

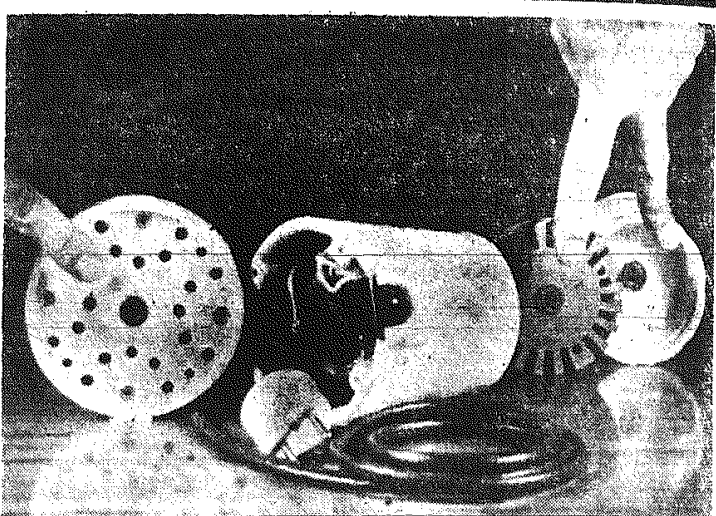
W różnych krajach zaobserwowano w czasie trzęsień ziemi zjawiska optyczne związane z elektrycznością atmosferyczną, które również w pewnych wypadkach poprzedzały sam wstrząs. Liczni obserwatorzy zauważyli np. spójne światło w postaci szerokiego, mglisto świecącego pasu. Światło to czasem migało, ma odcień złoty, albo

zielony, podobne jest do spójnych promieni lub zorzy polarnej. Podczas trzęsienia ziemi w Aszchabadzie w 1948 roku blask nad górami widoczny był z odległości 40 kilometrów.

Przyczyna tych zjawisk uczeni widzą w procesach elektrycznych zachodzących na boku pod ziemią w złożeń metali, które znajdują się w warunkach wysokiej temperatury i wzrastającego ciśnienia. Procesy te mogą wytworzyć nienormalnie wysokie natężenie elektrycznego pola atmosfery w pobliżu powierzchni ziemi, przejawiające się w postaci świecących wyładowań z różnych ostro zakończonych przedmiotów (wierzchołki gór, wieże budynków), podobnie jak to zdarza się przed burzą.

Liczne trzęsienia zaczęły się od podziemnych grzmotów, huków i trzasków. Zauważono przy tym, że silny dźwięk nie jest wcale zależny od siły trzęsienia ziemi. Nieraz przy słabych wstrząsach huk jest daleko większy niż przy silnych, a niekiedy po zjawiskach dźwiękowych trzęsienie wcale nie następuje.

J.B.



Wrzeczono obraca się nie w łożyskach tocznych, lecz ślizgowych.

Foto - AR

Weź jedno jajko...

Korespondencja własna z Węgier

Wzł jedno jajko, lyżeczkę oleju, dodaj sol i pieprzu do smaku, wrzuc wszystko do miksera i włącz go na trzydzieści sekund. Mikser dolewając oleju.

Biorę jedno jajko, lyżeczkę oleju, poprawiam sol i pieprzem „do smaku”, wrzucam to wszystko do miksera i naciskam wystający z jego korpusu guzik. Powoli dolewam

oleju. Sekundnik odmierza 30 sekund. Puszczam guzik. Na dnie szklanego klosza widnieje gęsta masa. Majonez na medal! W trzydzieści sekund!

Mikser przestał już być w naszych kuchniach rewelacją.

Poszedłem do produkcyjnej go fabryki Fővárosi Műszerekészítő és Javító Vállalat Jedynie dlatego, ponieważ zainteresowała mnie prostota jego konstrukcji. Widąc to zresztą na zdjęciach. Silniczek o mocy 150 W. napędzający wrzeczono miksera, osiąga fantastyczne tempo dochodzące do 18.000 obrotów/min.

A teraz - uwaga: wrzeczono miksera obraca się nie w łożyskach tocznych, lecz w ślizgowych (patrz zdjęcie). Są one wykonane ze sproszkowanego i następnie splekanego stopu brązowego.

Łożyska te nie wymagają smarowania, bowiem splek brązowy jest porowaty, a w pory wleczono olej, który, w momencie rozgrzania się łożyska przy wysokich obrotach, wydostaje się na jego powierzchnię ślizgową. Jak twierdzą konstruktorzy, łożyska takie są nie tylko tanie, lecz i trwałe.

Korpus miksera składa się z sześciu zasadniczych części wykonanych z tworzywa laminatowego, dającego się barwić na mile pastelowe kolory. Korpusowi nadano przyjemny dla oka kształt. U spodu i u góry posiada on otwory, przez które przechodzi powietrze chłodzące silniczek, tłoczone zamocowanym na osi wentylatorem odśrodkowym.

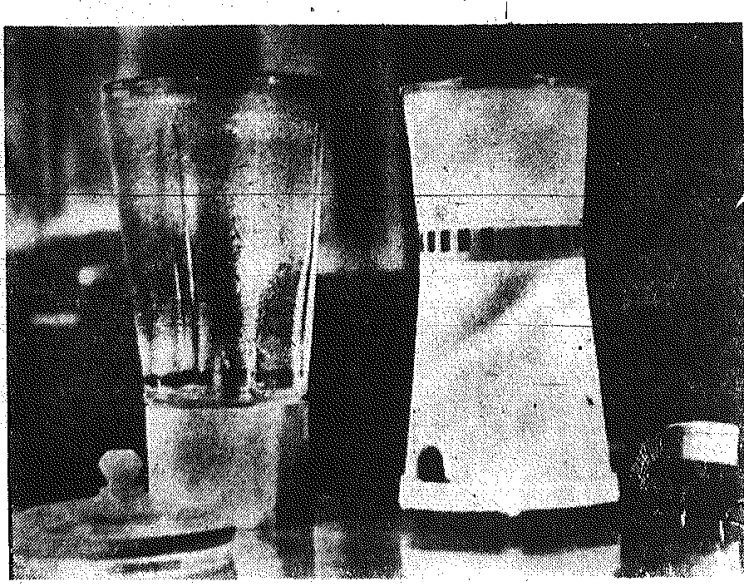
Mikser spełnia również rolę młynka do kawy i innych suchych ziarnistych środków spożywczych. Można przy jego pomocy przygotować rozmaite sosy, napoje mleczne - owocowe, koktaile itp.

Fővárosi Műszerekészítő és Javító Vállalat mieści się w hiepozornym, starym domu przy Nagydíla utca 7 niedaleko Rakoczi utca w samym centrum Pestu. Ścisłej mój włąć, znajduje się tu tylko jeden z jej oddziałów, których reszta rozrzucona jest po całym mieście. Fővárosi Műszerekészítő nie jest zwykłą fabryką, lecz zakładem rehabilitacyjnym dla osób, które wyleczyły się z gruźlicy. Mikser jest jednym z typowych wyrobów produkowanych w tej fabryce.

by niezbędne operacje produkcyjne nie wymagały ze strony pracowników wielkiego wysiłku fizycznego. Fabryka produkuje oprócz mikserów - rozmaite wyłączniki elektryczne, drobna metalowa galanteria stolarska itp. Robotnicy pracują tu krócej, niż gdzieś indziej - 6-7 godzin.

Srednie płace wahają się od 800 do 1200 forintów, a więc o około 15-20 proc. niżej, niż w podobnych zwykłych fabrykach. Rozrzucone po całym mieście jest, oczywiście, bardzo niedogodne dla dyrekcji, ale wygodne dla dyrektora, którzy nie trwonią sił i czasu na dalekie dojazdy.

A. RAYZACHER



Węgierski mikser, który produkuje majonez w 30 sekund.

Foto - AR

MAGAZYN

Jako dodatek do ciekawostek z książki telefonicznej, umieszczonych w poczytnym „Magazynie Niedzielnym” „Słowa Ludu”, podajemy kilka równie ciekawych nazwisk.

Zawody Kolodziej
Imiona własne Bartosz
I są takie Jelenek
Zwracamy uwagę P. Ik-
soni, że nawet rdzennie
polskie nazwiska nasuwa-
ją niekiedy pytanie „a
jak przedtem?”

Pod pseudonimem X mo-
że również ukrywać się
wcale miłe brzmiące naz-
wisko.

Proszę nie posiadać
mnie o brak poczucia hu-
moru, że je posiadania
świadczą choćby ta no-
tka.

Zofia Gyrkovich,
Kielce, Śniadeckich 33

Nazwisko wiadomo we-
gierskie.

Ps. Za bezpłatną reklamę
posiadania telefonu izi-
kuje!”



To są proszę państwa, życiowe problema...

Fot. B. Duda

JADWIGA PRANDOTA — TRZCINSKA

Spotkanie z Van Goghem

NOTATNIK KULTURALNY

W pierwszych dniach maja przysłano do Warszawy wystawę „Siedemdziesiąt lat malarstwa holenderskiego”, skompletowaną przez Muzeum Miejskie w Amsterdamie. Czołowe miejsce na tej wystawie zajmują obrazy Vincenta van Gogha i Pieta Mondriana. W salach wystawowych Muzeum Narodowego spotykam się po raz pierwszy oko w oko z malarstwem van Gogha w oryginalnej kolekcji „pięciu bardzo różnych, choć niezbyt odległych czasowo” prac van Gogha, została ze stanowiska mądrego i nieprzypadkowego. Van Gogh zbliżył się do malarstwa dopiero w roku 1885 — karle jego trwała tylko 5 lat. Ekspozycja otwiera słynny „Autoportret w szarym kapeluszu” z roku 1887, obraz o srebrzystym kolorze, przesłonięty niewątpliwie atmosferą genialnego szaleństwa. Jest to świetnie zachowany, niewielki olej na kartonie. Z obrazu patrz na nas burzynie — widać tragiczne, samotnego człowieka, człowieka głęboko dobrego i nieszczęśliwego. Obok wystawione „Goździki” z lat (1886—88) swoim ciemnym tonem i sposobem traktowania dowodzą, że należą raczej do wczesnego okresu malarstwa van Gogha.

Ogromnie wzruszające jest duże płótno — widok Montmartru z roku 1887, przedstawia ono właściwie pole z małymi domkami, ogródkami, działkami i wiatrakami w oddaleniu. Obraz jeszcze impresjonistyczny, bardzo świeży, jasny, pogodny. Niebo nad Montmartrem malowane jest łagodną, pończotną fakturą, obraz wibruje, ale bardzo delikatnie, technicznie pogodnym nastrojem lata. Nie znać na nim niepokoju i wewnętrznej rozdarci. Na tej samej ścianie

eksponowane płótno „Kopiący chłop” wg rysunku Milleta z roku 1889, posiada zupełnie inny charakter. Rozkołysane faliste niebo, wibrujące różem na białym tle, jest tu dalekie i jakby obce. Rysunek mocno zdeformowany, choć bez konturu, kolorystyka przygaszona. Obraz pełen beznadziejności, pustki, tragedii, kompozycja bez słonecznego horyzontu nie prowadzi do nikąd, życie bez sensu, jedynie ciężkie trud. Reprodukowana tu „La Berceuse m-me Roulin” (Kołysanka pani Roulin) z roku 1889 umieszczona jest na małej ścianie, pokrytej zdrapowaną białą tkaniną. Obraz także malowany na rok przed śmiercią artysty. Portret o niesłychanej ekspresji nastroju i wyrazie psychologicznym, pomimo deformacji rąk i głowy. Tło portretu ciemne, malowane w ciemne, jasne, ruchliwe kwiaty. Obraz jest świeży i natężony kolorystycznie, pomimo ciężkiej plany soczystej ciemnej zieleni w wielkiej środkowej partii obrazu, którą stanowi kaptan kobiety. Jak bardzo szczerze malowany jest ten portret! W traktowaniu twarzy kobiety, jej rąk, w malowaniu kwiatów tła jest coś dziecięcego, jakiegoś odkrywania nastroju na nowo i kontemplowanie go. Portret ten przenika tęsknotą do nastroju łagodności i spokoju, których przecież tak niewiele było w życiu artysty.

W roku 1954 Venturi w książce o van Goghu opublikował nieznaną listę ma Jarza. W jednym z listów wspomina o malownym właśnie portrecie van Gogha pisał: „Chciałbym zamienić człowieka w gwiazdę spadającą z nie-

ba, w oczach i dookoła tego człowieka, zamknąć osobny świat nastroju i wyrazu”.

Obrazy van Gogha nie pasowały właśnie do żadnej ekspozycji organizowanej za jego życia. Van Gogh był skrajny, był krańcowy. Obrazy wystawione tutaj nie reprezentują okresu jego twórczości z lat od końca 1888 r. do 9 maja 1890, to jest „okresu Arles”. Okresu pełnego jaskrawych kolorów żółci, czerwieni, kolorów rdzawych, jasnych. Bezlitosnego słonecznego światła bez cienia. Ówczesne żółcie van Gogha posiadają w sobie jakąś piołunową, a upajającą gorzkość absyntu Permoda.

Warszawską wystawę, zwiedza bardzo wielu ludzi, większość stoi w skupieniu przed płótnem van Gogha. Patrz na skromny, chwiejny podpis „Vincent” — za życia artysty podpisał samego siebie, nieznosząc mianego człowieka, po śmierci podpisał geniusza.

Jeżeli van Gogh był szaleńcem, to z rodzaju świętych szaleńców i potrafił swoje szaleństwo malować, co właśnie było genialne. Camille Pissarro mówił często, że tacy ludzie jak Vincent znajdują uspokojenie tylko w śmierci. A podobno tylko sztuka zdolna jest zatrzymać czas.

J. P. T.



Vincent Van Gogh — Kołysanka



NOWE KSIĄZKI

Jean Béraud-Villars: Pulkownik Lawrence — czyli poszukiwanie absolutu. Tłum. Jerzy Lisowski. Warszawa 1960 MON (cena 35 zł).

Książka przedstawiająca awanturę losy słynnego asa dywersji, wybitnego angielskiego agenta na Bliskim Wschodzie, Ciekawe.

Bruno Apitz: Nadzi wśród wilków. Przeł. Jerzy Rawicz. Warszawa 1960. KiW (cena 20 zł).

Powieść osnuta na tle życia obozowego w Buchenwaldzie opowiada o tym, jak więźniowie ukrywają przed hitlerowcami... trzyletnie dziecko. Przeczytajcie.

Jarosław Iwaszkiewicz: Tatara i inne opowiadania. Warszawa 1960. Czytelnik (cena 14 zł).

Siedem doskonale napisanych, interesujących opowiadań po raz pierwszy ukazujących się w wydaniu książkowym.

Stanisław Szenci: Piławał ucieł kopolski. Warszawa 1960. Czytelnik (cena 22 zł).

jako przyprawa kuchenna. 33) francuski znak „Jego Królewskiej Wysokości”. 34) u buddystów: istota wyzwolona od nowych wcieleń.

PIONOWO: 1) specjalistka od języka polskiego, 2) grecki odpowiednik Marsa, 3) nazwa polskiej maszyny do szycia, 4) literki dopisywane czasem na listach i oznaczające: najniższy szereg, 5) „część” opery, 6) pokrywa olbrzymie przestrzenie Chin i znaczne tereny Sandomierszczyzny, 7) córka Marii Curie — Skłodowskiej, 8) prześlaskawiony, komizny wizerunek, 12) dur muzyczny, 15) imię kompozytora „Tańca z szablami”, 16) bezkrytyczny wielbiciel tego co modne, 21) mahometańska biblia, 23) Indianie Ziemi Ognistej, 25) przyrządek na konia, 27) mała chusta używana zamiast turbana, 29) czarnoksięznik, 32) słoneczne bóstwo.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 8 czerwca. Do losowania nagród książkowych dopuszczono będą tylko te koperty, na których dopisano:

„KRZYŻÓWKA 20” ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 17

POZIOMO: skos, agar, towarzys, bory, alasz, Parys, wadum, „Dymy...”, topola, beton, perkoz, Tolo, rozeta, edykt, rezon, Raka, tyran, blat, Oman.

PIONOWO: staden, Kola, o-wady, Sasl, abad, gory, A-ryman, rys, rzutek, „Motor”, pozory, opodal, brokat, etyka, sezam, terb, zero, tona, Anin.

Nagrody książkowe otrzymali: 1) Janina Świeboda — Kielce, 2) Zofia Dzierżbicka — Radom, 3) Marian Wotruba — Kielce, 4) Zofia Schabek — Radom, 5) Maria Tatarska — Sobień, pow. Opoczno.

Książka jest udaną próbą zobrazowania postępców „myśli ludzkiej”, zawiera wiele materiałów z różnych dziedzin wiedzy. Koniecznie przeczytajcie!

Alfred Ligocki: Cezanne. U źródeł rewolucji w sztuce. Warszawa 1960. Arkady (cena 60 zł).

Wszystko o Cezanne. Książka może pomóc w porządkowaniu zamyślenia w zakresie pojęć estetycznych i w zakresie krytycznej sztuki nowoczesnej. Trzeba więc przeczytać. (62 reprodukcje).

Tadeusz Cyprjan, Jerzy Sawicki: Nie oszczędzaj Polskę. Warszawa 1960. Iskry (cena 25 zł).

W oparciu o bogaty wybór dokumentów i materiałów źródłowych autorzy opisują przygo-

POCZTA MAGAZYNU

DO REDAKCJI

W niedzielnym Magazynie „Słowa Ludu” (Nr 14 z dn. 6-7 lutego 1960 r.) ukazał się artykuł „Czworoletni autor książki „Między ustami, a brzemieniem pucharu”, podtytuł: „Zja”. W artykule tym podane są dane biograficzne i historyczne literatury Wilhelma Feldmanna oraz dwóch pisarzy: Henryka Sienkiewicza (list na jubileusz) i Tadeusza Zdzienickiego. Na dołatek jest fraszka Wilhelma Gomułki. Cóż, który z nich miał rację — pozostawiam czytelnikom? Pisze p. „Zja”, toteż dla ułatwienia tej oceny dam parę uwag i przytoczę jeszcze parę omów.

W swoim obszernym dziele „Maria Rodziewiczówna” Kazimierz Czachowski na str. 19 również podaje cytowany list Sienkiewicza, na str. 14 identyczną wypowiedź Zdzienickiego, a na str. 11 krytykę Feldmanna. (...) Niekoniecznie na str. 15 jest charakterystyka zasług Marii Rodziewiczówny pisma znanego krytyka Adama Grzymały-Siedleckiego. Książka przytacza:

„Nie Daniem i nie Skargą Rodziewiczówna — a jednak, kto zdoła przemierzyć, ile dobrego wpłynęło w świat, i przeciwnych rzeszach społeczeństwa wywarło jej pisanie, znaczne nie wysokość artystyczną, lecz wagę i efektywność. Rodziewiczówna nie pochwala walcem i alchemizmem, lecz nie zwraca się do bliźniego. W jej powieściach czytelnik odkrywa sentymenty, nie czuje się przytłoczony, nie ma wrażenia, że autor nam przypuszczenia, iż światła świata siebie sama, za typ, wysoko wyrażający ponad wszystko i wszystko: przeciwieństwo, z kart tych książek było słyszalne poczucie silnego pokrewieństwa do światła światła, do ludzi, do ludzi, do ludzi, choć czasem słyszalne. Kto wie, czy nie to właśnie poczucie solidarności tak silnie przyswajuje wielbicielej jej twórczości do dzieł „Dziękuję”, do heroldu „Szarego proch”. Byłoby przesadą twierdzić, iż powieści Rodziewiczówny wędrują do pantanu literatury polskiej, — ale te — właśnie potulne utwory nauczyły czytać cała warstwę ludzi.

Pan „Zja” w tytule umieścił książkę „Między ustami, a brzemieniem pucharu”, a ponieważ w „Czworoletni” brak wzmianki o niej, wypełnił lukę, podając co Stefan Żeromski pisał w swoim dzienniku w Kurozwężkach 6 sierpnia 1899 r.:

„Piekłena zaradka ogarała mnie, gdy czytałem Między ustami a brzemieniem pucharu panny M. Rodziewiczówny. W Żydzi, Facella ta spać mi nie daje. Zarówno Dawaj, jak wspomnianą nowelę, noszą na sobie cechy talentu pierwszorzędowego, niepomierne silnego, choć takie, że Turgeniew tylko wywołał zdolen podobne realne zadowolenie. A jednak — to nie moja kraina, nie prawdziwa kraina. Talent, tylko talent... Utwór ten, pierwszy utwór 23-letniej autorki, jest najcenniejszą rzeczą w noweliście współczesnej. Właściwie stoją otworem przed tą kobietą. Między ustami, a brzemieniem pucharu, są tam takie dialogi, że ciskałem piśmo, gdyż zagryzała mnie piekielna zaradka...”

Hieronim Tarkalski
Radom

Od redakcji: List powyższy drukujemy z niemałymi skrókami.

DO REDAKCJI „MAGAZYNU NIEDZIELNY”

Odnosząc artykuł red. J. Łyska zamieszczonego w „Magazynie Niedzielnym” Nr 27 z dnia 7 — 8.V.1960 r. pt. „O północy na krzyżowych drogach”, zwracam się z prośbą o wyjaśnienie mi, czym kierował się redaktor, że felczer poprzecznik „energiczny” lekarza nie stronił podobno od metod leczenia, usłowniczony, tu tradycja. Proszę bardzo o podanie mi jakiegokolwiek przykładu znachorstwa, które może potwierdzić chociażby jeden pacjent hylego felczera. Felczer objął placówkę w Olesznie w roku 1933, a opuścił w roku 1937. Podczas pobytu w Olesznie zbierał nagrody w postaci dyplomów i nagród pieniężnych przydzielanych przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wydział Zdrowia we Włoszczowie.

Dziwne — że też zwierznikiem jakim jest Wydział Zdrowia nie dopatrzył się znachorstwa u felczera, a jeszcze nagradzał jego. A Pan redaktor będzie kilka godzin, czy kilka dni i już widzi znachorstwo felczera. Pytam się Pana redaktora dlaczego ten „energiczny” lekarz jeszcze nie zlikwidował znachorstwa w Olesznie będąc już prawie trzy lata i do tej pory od bólu zębów „piłk moze kobylki”?

Z artykułu umieszczonego w gazecie wygląda, że nie-szczęściem Olesznie był pobyt felczera, który w spuściznie pozostawił „energiczny” lekarzowi znachorstwo. Owe redaktor winien skierować piśmo do Ministerstwa Zdrowia dlaczego kształcił znachorów w postaci felczerskiej i wydaj im prawo leczenia i wysłać ich na takie placówki, które stają się ugrozą dla „energicznych” lekarzy.

Jestem tym, który czuje się dotknięty za moją pracę, za mój wysiłek i moje noce nieprzespane i zawsze biłem na posterunku me placówki, co mogą potwierdzić mieszkańcy Olesznie, a nie tylko jedna osoba z którą Pan redaktor prowadził wywiad.

Pytam się Pana redaktora ile ten „energiczny” lekarz otrzymał nagród za swą „energiczną” pracę? Czy taki sam okres pobytu jak i felczer. Pytam się skąd wpłynęło na felczera do Wydziału Zdrowia podczas pobytu w Olesznie, ale ile wpłynęło pochwał. Pan redaktor nie chciał sobie zadać trudu i zasięgnąć opinii o felczerze od szerszego grona.

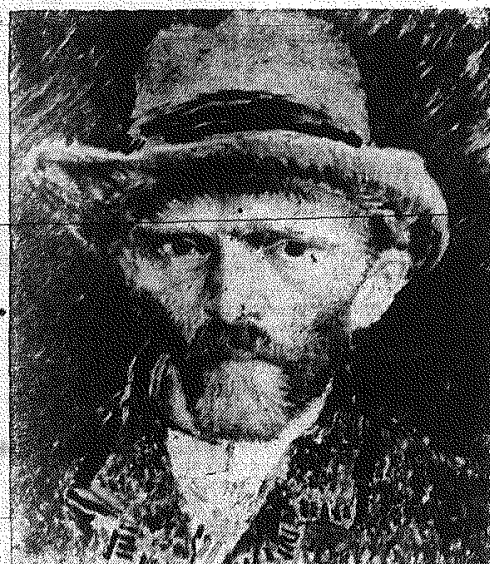
Hieronim Bolesław
st. felczer med.
Kurzelów, pow. Włoszczowa

DO REDAKCJI:

Pragniemy zauważyć, iż nie pisaliśmy, że niezbyt szczęśliwym był pobyt felczera. Oleszno zna większość kłopoty.

Otrzymał list od Czytelnika J. K. z Płocznicy, który pisze nam, że: „Magazyn Niedzielnym” Nr 28 był dobry”. Naszemu czytelnikowi obok słów rubryki szczególnie podobały się dwa artykuły: „Czekanie na Austrię” i „Ostatnia tajemnica Canaris’a”.

Dziękujemy.
„MAGAZYN NIEDZIELNY”



Van Gogh, Autoportret w szarym kapeluszu